

Słoń Birara



FERDYNAND ANTONI OSSENDOWSKI

Stoń Birara

ROZDZIAŁ I. MAŁY AMRA

— Amra! Amra! — usłyszał chłopak głos matki.

Pomyślał, że dziś po raz trzeci odrywa go od pracy, jednak poszedł do chaty.

Idąc, obliczał, że ma jeszcze do zrobienia dziesięć koszyczków bambusowych. Zamówił je stary kupiec — Anglik handlujący owocami na wybrzeżu. Już słońce stoi wysoko.

Dzień stanowczo za krótki jest dla pracującego chłopca!

A tu raptem odrywają go...

Wszedł do chaty.

Ciemno w niej było.

Przez strzechę z pożółkłych liści palmowych nie zagłądały do wnętrza złociste promienie słońca.

Ojciec chłopaka, kulawy Warora, któremu podczas służby w pułku strzelców królewskich, na wojnie w Kaplandzie¹ pocisk urwał stopę, siedział na ziemi, schylony nad niziutkim zydlem².

Wykuwał z mosiądzu zapinki, sprzączki i małe naczynka. Postukiwał młoteczką, a ostrym dłutkiem żłobił metal.

Warora trudnił się snycerstwem.

Rzeźbił nie tylko w mosiądzu i brązie, lecz też w drzewie, miękkim kamieniu z Radżputany i w kości słoniowej.

Kaleka siedział pochylony nad stołkiem i nie spojrzał nawet na syna.

W głębi chatki, przy płonącym na kamieniach ognisku matka Amry mełła³ na kamieniu proso⁴.

Od czasu do czasu rzucała okiem na kocioł; warzyła⁵ w nim polewkę z ryżu, czerwonego pieprzu i suszonej ryby.

— Amra... — szepnęła, ujrawszy wchodzącego syna.

Chłopak podszedł i podniósł na matkę pytające oczy.

Bez słowa przycisnęła go do siebie i, głaszcząc po włosach, wdychała raz po raz.

Nie pytał jej o nic, zajęty myślą o koszyczkach, które musi w terminie oddać białemu kupcowi.

— Ach! — wyrwało mu się westchnienie, gdyż myśl miał ciągle zaprzątniętą przez rwaną robotą.

Chuda, zbiedzona Soncza, matka chłopca, popchnęła go ku drzwiom i, nic nie mówiąc, zapłakała.

Amra wyszedł szybko, dziwiąc się, że to już po raz trzeci woła go dziś matka, tulił do siebie, chcąc powiedzieć mu coś ważnego, na co jednak nie może się widocznie zdobyć.

— Słuchajcie, dziewczynki! — rzekł do dwóch młodszych siostrzyczek: Hubli i Radżori, lupiących cienkie pasemka bambusowych prętów. — Co to znaczy? Mama woła

Mężczyzna, Kobieta, Praca,
Obyczaje

¹na wojnie w Kaplandzie — podczas jednej z wojen kolonialnych toczonych przez Wielką Brytanię przeciw wcześniejszym, holenderskim kolonizatorom w Afryce Płd.; Kapland to używana w XIX w. nazwa Kolonii Przylądkowej (Cape Colony) ze stolicą w Kapsztadzie, usytuowanej w okolicach Przylądka Dobrej Nadziei (dziś: część Republiki Południowej Afryki). [przypis edytorski]

²zydel — stołek. [przypis edytorski]

³mełła — daw. forma od: mleć (dziś raczej: mielić) czyli ucierać ziarno zbóż. [przypis edytorski]

⁴proso — rodzaj zboża, z którego piecze się np. chleb. [przypis edytorski]

⁵warzyć (daw.) — gotować. [przypis edytorski]

mnie ciągle do siebie, ale nic nie mówi! Przed chwilą wydało mi się, że nie ma odwagi mi powiedzieć czegoś bardzo ważnego...

Dziewczynki spojrzały na brata z odcieniem szacunku.

— Ja wiem... — szepnęła Hubli, spuszczać oczy tajemniczo.

— Skoro wiesz, to musisz mi powiedzieć — zawołał Amra.

Dziewczyna pochyliła głowę i nagle zapłakała.

— Dziadek zmarł... — szepnęła cichutko.

— No! — przerwał jej chłopak. — Przecież wiem... Przed trzema dniami przygniotły go w porcie belki i zmarł... Pochowaliśmy go wczoraj... Wiem o tym wszystkim!

Mówiąc, zręcznie i szybko splatał mały, prostokątny koszyczek na owoce.

W powietrzu śmigały chyżo⁶ brązowe, cienkie palce chłopaka i szeleściły twarde, złociste wióry bambusowe.

— Ojciec powiedział dziś z rana, że nie może pracować z Birarą... Tatuś stracił stopę na wojnie i ma nieruchomą nogę... — opowiadała Hubli. — Biali ludzie nie pozwolą, ażeby kobieta została poganiaczem słonia...

Amra podniósł na mówiącą roziskrzone oczy, z których biła radość i zdumienie.

— Wiem o tym wszystkim! — szepnął. — Ojciec sprzeda chyba Birarę *kornakowi*⁷. Wczoraj przychodził do niego Bassa z Garamu i dawał sto rupii⁸...

Dziewczynka przecząco potrząsnęła czarną główką i odparła natychmiast:

— Rodzice nie sprzedadzą Birary. Ty zostaniesz kornakiem, Amra, i będziesz żywił nas wszystkich!

Obie siostry patrzyły na brata z zachwytem i jak gdyby nawet lękiem.

Amra klasnął w dłonie.

Niedokończony koszyk potoczył się na ziemię.

Nic nie mówiąc, schylił się po niego i jął⁹ pracować jeszcze szybciej.

Myślał przy tym o różnych rzeczach, o których przypomniawszy mu siostra.

„Tak! Tak! — mknęły myśli w pochylonej głowie chłopaka. — Bez Birary nie damy sobie rady! Nakarmić pięciu ludzi — na to potrzeba dużo pieniędzy! Snycerstwo i koszykarstwo przynoszą małe i dorywcze zyski. Nie wyżywi to rodziny...”

Miał już dziesięć lat, a pierwsze, najdawniejsze jego wspomnienia związane były ze słoniem i sędziwym Bauli, dziadkiem. Mieszkali wtedy wszyscy razem w wiosce. Chata ich stała nad brzegiem Narbady. Rąbano właśnie lasy górskie w Satpurze, a dziadek wyciągał ogromne kłocę mahoniowe i santalowe z dżungli. Właściwie wyciągał je dobry, mocarny Birara, dziadek zaś pomagał mu tylko zarzucać na zrąbane drzewa pętlę z łańcucha, a potem, usiadłszy słoniowi na karku, popędzał go głośnymi okrzykami. Dziadek zawsze znajdował pracę dla siebie i dla Birary. Raz — gorszą, raz — lepszą i zyskowniejszą, lecz nigdy jej nie brakowało.

Od czasu, gdy do Suratu zaczęły przyplывать okręty, cała rodzina przeniosła się tu. Zwożono drzewa, które rąbali biali kupcy w dżungli nad rzeką Tapti, wiązano je w trawy i spuszczano z prądem do Suratu. Tam znów, z zamulonego, błotnistej ujścia rzeki słonie wyciągały ugrzęzłe w bagnisku pnie, kłocę, belki i składały je na wybrzeżu. Maszyny zabierały stosy drzewa i ładowały na okręty, odpływające do zatoki Kombej lub do Bombaju¹⁰ — wielkiego miasta, w którym nie tylko Amra, lecz i Warora, a nawet siwy, jak gołąb, Bauli nigdy nie bywali, a stamtąd zaś dalej — do kraju białych ludzi...

W Suracie dziadek dobrze się obłowił.

„Ho-ho! — przypomniał sobie Amra. — Sam widziałem, że przynosił do domu po dziesięć rupii!

Wkrótce kupił sobie szmat¹¹ roli. Nieduży, co prawda, lecz urodzajny. Matka sadziła na polu proso, kukurudzę i ryż. Mieli tam też kilka drzew mangowych i pomarańczowych, obficie dających smaczne, soczyste owoce.

I nagle stało się nieszczęście.

⁶chyżo — szybko. [przypis edytorski]

⁷kornak — hinduska nazwa poganiacza słoni. [przypis redakcyjny]

⁸rupia — srebrna moneta, mająca obieg w Indiach, równa się 4 zł polskim. [przypis redakcyjny]

⁹jąć (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

¹⁰Bombaj — dziś: Mumbai, największy port morski Indii. [przypis edytorski]

¹¹szmat — pewien obszar, kawał. [przypis edytorski]

Staruszek-dziadus dostał się w porcie pod spadające belki. Przygniotły go, połamały mu stare kości, poszarpały sterane życiem ciało. Bauli tegoż wieczoru umarł.

W osieroconej rodzinie nie pozostało nikogo, kto mógłby pracować z Birarą... On tylko chyba — dziesięcioletni Amra, bardzo zresztą zaprzyjaźniony ze starym słoniem dziadka.

Słoń dziadka... Stary Bauli nieraz brał ze sobą wnuka, wsadzał go obok siebie na kark Birary i ruszali do dżungli. Jadąc, gwarzyli sobie, a przysłuchujący się ich rozmowie słoń pomrukiwał cicho, wymachując uszami.

Bauli opowiadał chłopakowi, że Birara od dawna należał do ich rodziny.

Przywiózł go był z dżungli Assanu, ojciec Bauli, który mieszkał wtedy za „świętą” rzeką Gangesem.

— Amra! Amra! — krzyknął nagle ojciec chłopaka i klasnął w dłoń.

Wspomnienia prysnęły.

Chłopiec uczynił kilka szybkich ruchów, zamocował pręciki koszyka i pobiegł do chaty.

— Słuchaj no, synku! — rzekł Warora, pykając długą, cienką fajeczkę. — Musimy się naradzić. Chodź tu, matko!

Usiedli wszyscy troje na progu.

— Jestem kaleką i nie mogę być kornakiem — zaczął ojciec. — Sprzedać słonia nie wolno nam, gdyż wpadlibyśmy w nędzę. W rodzinie jest jeden tylko mężczyzna: to ty, Amra...

— Jestem mężczyzną! — odpowiedział poważnym głosem chłopak i dumnym, śmiałym ruchem podniósł głowę.

— Czy potrafisz kierować Birarą? — spytał Warora, patrząc na syna.

— Przecież nieraz już pomagałem dziadkowi — wzruszył ramionami Amra. — Słoń nasz jest mądry i posłuszny, najmądrzejszy i najposłuszniejszy spośród wszystkich, które pracują w Suracie.

— Czy podołasz tej pracy? — rzuciła pytanie matka, z troską zaglądając w oczy synowi.

— Podołam! — odparł Amra stanowczym, twardym głosem. — Zacznę od jutra... Dziś muszę skończyć koszyki, zamówione przez białego kupca. Już pójdę...

Wstał i odszedł szybkim krokiem. Prości, pracowici ludzie nie mają czasu na długie rozmowy.

Ważna sprawa, od której zależał los całej rodziny, została rozstrzygniętą od razu.

Amra pracował do wieczora, a gdy matka zawołała wszystkich na wieczerzę, z dumą spojrział na pięćdziesiąt lekkich koszyczków, zawieszonych parami na tyczce bambusowej.

Po posiłku pobiegł do miasta, unosząc ze sobą koszyki. Powrócił przed północą, obudził ojca i oddał mu zarobione cztery rupie.

Wyszedłszy z chaty, Amra pobiegł na brzeg Tapti.

Hindusi-kornakowie ogrodzili tam grubymi palami znaczną przestrzeń, na której pały się słonie. Każdy z nich miał swój żłób z prosem i jęczmieniem, a także wielką skrzynię, codziennie napełnianą trawą, cienkimi gałązkami krzaków tamaryndowych, młodymi pędami bambusów i sianem.

Amra przelał przez parkan i rozejrzał się.

W zagrodzie znajdowało się trzydzieści słoń.

Niektóre z nich, niby olbrzymie czarne głązy, majaczyły w mroku nocy.

Stały na potwornych, do słupów podobnych nogach, z opuszczonymi trąbami i nieruchome — spały.

Inne, bardziej znużone całodzienną pracą, pokładły się i leżały, głucho wdychając.

Amra stanął przy palach ogrodzenia i, wydawszy krótki świst, zawołał cicho:

— Birara!

Słonie poruszyły uszami i podniosły trąby, węsząc zakłócającą ich spokój istotę.

Nie знаły chłopaka, więc jęły przestępować z nogi na nogi i wydawać głośnie chrapanie. Zupełnie wyraźnie wyrażały tym swe niezadowolenie.

Amra gwizdnął raz jeszcze i powtórzył:

— Birara!

Po chwili uszu chłopaka doszedł częstotliwy tupot ciężkich nóg.

Praca

Zwierzę

Nad urwistym brzegiem wyrosła olbrzymia sylwetka słonia.

Wesoło pomrukując i sapiąc, śpieszył na wezwanie.

— Birara! — łagodnym teraz i pieszczotliwym głosem zawołał na niego chłopczyk.

Słoń przystanął, rozglądając się w ciemności; węszył przez chwilę, a potem pewnym krokiem ruszył wprost przed siebie.

Zatrzymał się przed Amrą, otoczył go trąbą, chuchnął w twarz gorącym, wilgotnym oddechem i małymi, figlarnymi oczkami przyglądał się późnemu gościowi.

— Kapałeś się, przyjacielu? — spytał chłopak, widząc, że z boków zwierzęcia strugami spływała woda.

Birara prychnął i radośnie machnął ogonem, zakończonym kitą czarnej szczeciny.

— Jutro ruszamy do dżungli, mój stary — mówił Amra, drapiąc przyjaciela koło oczu. — Odtąd ja już tylko będę twoim kornakiem... Rozumiesz? Ja! Ja! Dziadzius nigdy nie bił cię żelaznym młotkiem, jak to czynią inni poganiacze... Ja też nigdy nie uderzę Birary, nigdy!

Zdawało się, że słoń zrozumiał mowę małego Hindusa.

Ukląkł i, obejmując go coraz tkliwiej, dał mu w twarz, mruczał i wywijął ogonem.

— Muszę się teraz przespać, starowinko — ciągnął dalej Amra. — Wleżę do tego siana, a za to masz zapłatę!

To mówiąc, chłopak wyciągnął spoza opaski banan i wrzucił go do paszczy przyjaciela.

Po chwili spał już zagrzebany w trawie, której nie zdążył zjeść Birara.

Słoń stał obok i długo jeszcze pomrukiwał.

Miał może jakieś wątpliwości co do przyniesionej mu nowiny lub może wyrażał zadowolenie i wdzięczność za smaczny, dojrzały banan.

Wkrótce zapanowała zupełna cisza. Od czasu do czasu tylko pluskała ryba w rzece i cienko cykały uganijające się za muchami nietoperze.

Birara spał.

Obudziło go stąpanie innego słonia.

Było to młode jeszcze i dość dzikie zwierzę, od niedawna tresowane.

Zaniepokoiła go obecność nieznanego człowieka — małego, brązowego chłopaka, który spał smacznie w skrzyni w sianem.

Podszedł więc, węsząc podejrzliwie.

W tej samej chwili jednak obudził się też Birara.

Ujrawszy wyciągniętą nad Amrą trąbę młodego słonia, chrapanął gniewnie, odtrącił ją i dał młodzikowi kuksańca w bok, aż huknęło.

Znowu zapadła cisza.

Niebo stawało się bledsze. Szarzyzna przedświtów sączyła się już zewsząd.

Przeleciały, pośpiesznie machając skrzydłami, szare czapelki.

Jakiś ptak odezwał się w gąszczu palm areka.

Z daleka dobiegło przeciągłe wycie szakala...

Na wschodniej połaci nieba poróżowiwały obłoki.

Świt się zbliżał.

Słonie się pokładły. Leżały szare, nieruchome, niby wielkie, bezkształtne zwaly gliny.

Ukryty w skrzyni Amra bełkotał coś przez sen.

ROZDZIAŁ II. CIĘŻKA PRACA

Obudziwszy się o świcie, Amra wpadł do domu, zjadł naprędce miseczkę ryżu polanego olejem i powrócił do zagrody słoni.

Zastał tam już innych poganiaczy wyprowadzających swoje słonie na robotę.

Ujrawszy chłopaka, wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Biali ludzie nie zgodzą się nigdy na takiego kornaka! — wołali.

Amra, nic im nie odpowiadając, kazał Birarze uklęknąć.

Długo się mozolił¹², nakładając mu chomąto i przyczepiając doń łańcuchy z żelaznym orczykiem¹³ zakończonym dwoma hakami.

¹²mozolić się — trudzić się. [przypis edytorski]

¹³orczyk (z niem. *Ortscheit*) — poziomy drążek służący do połączenia uprzęży zwierząt pociągowych z ładunkiem lub pojazdem. [przypis edytorski]

Birara ostrożnie wstał i ruszył do dżungli.

— Hej tam, chłopaku! — krzyknął dozorca poręby¹⁴, spostrzegłszy Amrę. — Chyba się nie mylę? Przecież to słoń starego Bauli, którego przygniotły belki w porcie?

Amra skinął głową i odparł:

— Przeprowadziłem Birarę do roboty. Bauli zmarł... Teraz ja będę kornakiem.

— Hm... ty: kornakiem? — mruknął Anglik. — Nie podołasz pracy, mój mały.

Chłopak, patrząc na dozorcę poważnie, odpowiedział:

— Jeżeli nie podołam, sahib¹⁵ odeśle mnie do domu, jeżeli jednak podołam, będę brać tyle, ile brał mój dziadzio, sędziwy Bauli...

Anglik namyślał się przez chwilę, wreszcie machnął ręką i mruknął:

— No, jazda! Zobaczymy!

Amra ścisnął piętami szyję słonia, a ten zamaszystym, szybkim krokiem minął dozorcę i zniknął w lesie, gdzie rozlegał się już łomot padających drzew, stuk siekier, świszczący syk i zgrzyt pił.

— Dajcie temu największemu kornakowi największy kawałek do wywiezienia! — ze złośliwym śmiechem krzyknął młody Hindus Pangel.

— Który? — zapytał spokojnie Amra i zbliżył się do wskazanego mu drzewa.

Ujrzał olbrzymi mahoń, który, upadłszy, zaszył się w gąszczu krzaków i wysokich traw, zaplątawszy się szerokimi konarami w sieci gałęzi drzew i pnących się roślin.

— Hm... hm... — mruknął chłopak, patrząc pytająco na słonia. — Co ty na to powiesz, staruszk?

Birara poruszał uszami i przyglądał się leżącemu pniowi.

Miał wygląd bardzo niezadowolony.

Amra obszedł pień dokoła i rozejrzał się po okolicy.

Spostrzegł wkrótce, że drzewo leżało nad urwiskiem.

Na dole biegła droga nad brzegiem Tapti.

„He? — zapytał siebie w duchu chłopak. — Po co mamy ciągnąć taką kupę drzewa poprzez dżunglę? Możemy zrzucić ją z tego pagórka i po drodze zawlec do tartaku...”

Podprowadził słonia do cienkiego końca drzewa, założył łańcuch i krzyknął:

— Hoho, Birara! Podciągnij no trochę!

Posłuszne zwierzę wparło nogi w ziemię, wyprężyło potężne mięśnie i, szarpnąwszy z całej siły, posunęło drzewo do krawędzi stromego urwiska.

— No, dobrze! — odezwał się Amra. — A teraz, przyjacielu, puść w ruch kły i kolana!

Birara podważył gruby pień kłami i jął powoli, krok za krokiem popychać go do krawędzi, opierając się kolanami.

Wkrótce drzewo, straciwszy równowagę, runęło w dół.

Umieściwszy się na karku słonia, chłopak boczną ścieżką zjechał z pagórka, założył na konary łańcuch, umocował go do orczyka i poszedł obok Birary, ciągnącego olbrzymie drzewo po błotnistej, śliskiej drodze leśnej.

Słoń, człapiąc po błocie, pomrukiwał, jak gdyby mówiąc:

— E-e, widzę, że masz głowę na karku...

Amra na robocie uważał na wszystko, starając się oszczędzać siły starego przyjaciela. Toteż biały „sahib” nic już nie mówił i płacił mu po pięć rupii dziennie, tyle, co innym kornakom.

Po kilku dniach wspólnej pracy, poganiacze, przyglądając się pracy chłopca, zrozumieli, że mogą wyrobić więcej, jeżeli nie będą polegali wyłącznie na sile swoich słoni; zaczęli stosować własną pomysłowość, która ułatwiała i przyspieszała pracę.

Jednak Amra nie dał się wyprzedzić.

Mały był i słaby jeszcze — rozumiał to doskonale. Chciał jednak zarobić jak najwięcej, aby w domu rodzice i siostrzyczki nie czuli biedy.

Najtrudniejszą pracą było wyciąganie z dżungli zrąbanych drzew.

Ich mocne, szerokie gałęzie tamowały ruch i wymagały wytężenia wszystkich sił słoni.

Namyśliwszy się dobrze, chłopak kupił siekierę i piłę.

Pieniądz, Ambicja

Pieniądz, Żebrak

¹⁴poręba — obszar, na którym wycięto drzewa w lesie. [przypis edytorski]

¹⁵sahib — hinduskie słowo odpowiadające polskiemu wyrazowi „Szanowny Panie”. [przypis autorski]

Pewnego dnia stawiał się do roboty z pomocnikiem — dwudziestoletnim Baruszem, roześmianym ciągle, wygadany łobuzem-żebrakiem.

Gdy drwale obalali ogromne drzewo, chłopaki odrąbywały zeń gałęzie i odpilowywały najgrubsze konary. Gładki i znacznie lżejszy pień z łatwością mógł być wywieziony z dżungli.

Amra płacił Baruszowi jedną rupię dziennie.

Cóż z tego wynikło?

Nicpoń, jakim był rozleniwiony, mały żebrak, nie wyciągał już ręki po jałmużnę, mając dostateczny zarobek.

Amra zaś zarabiał już zamiast pięciu rupii — dwanaście.

Dostarczał teraz do tartaku niemal trzy razy więcej drzew.

Poręb posuwał się coraz dalej w głąb lasu.

Po całodziennej ciężkiej pracy Amra nie mógł już powracać do ojcowskiej chaty nad Tapti.

Otrzymał pozwolenie od dozorczy na zbudowanie szałas w lesie i na paszę dla Birary.

Słoń był wyraźnie zadowolony z tej okoliczności.

Zwalone przez drwali drzewa dostarczały mu dostateczną ilość pożywienia.

Niezmiernie lubił młode gałązki z wierzchołków drzew.

Upodobanie to pozostało mu na zawsze z czasu życia w dzikiej dżungli.

Sporo lat minęło od utraty wolności, lecz Birara nie zapomniał smaku soczystych pędów.

Pamiętał nawet, że matka jego — stara słonica — uczyła go, jak podwazyć, aby nie połamać kłów, korzenie drzew i obalać pnie ciężarem całego ciała.

Birara oblizywał się na wspomnienie wspaniałej uczy. Raczono się wtedy młodymi pędami i świeżymi korzeniami drzew.

Wszystko to znajdował łakomy Birara na porębie.

Drwale stracali na ziemię najwyższe drzewa, a inni robotnicy karczowali wystające z ziemi pnie.

Słoń zaglądał do dołów i wykrotów, odnajdywał korzenie i wyciągał je trąbą. Chrupał potem z tak wielkim smakiem, że aż mu ściekała z warg ślina, a oczy przymykały się z rozkoszy.

Amra sam sobie przyrządzał na ognisku placki z mąki jęczmiennej i gotował ryż.

Birara lubił też placki i ryż.

Choć nieraz najedzony do syta drzemał sobie, nigdy nie przespał wieczery małego kornaka.

Podchodził do ogniska i, oświetlony jego czerwonymi błyskami, tkwił przed chłopakiem niby wysoki, szary pagórek.

Małymi, zawsze wesołymi oczkami chciwie lypał i niecierpliwie poruszał uszami.

Amra udawał, że nie spostrzega przyjaciela.

Wtedy Birara wyciągał trąbę i dotykał lekko ramienia chłopaka, pochrząkując proszaco.

Kornak uśmiechał się nieznacznie, lecz nie patrzył na niego.

Słoń zaczynał tupać nogami i mruczeć głośnie.

Amra, niby zdziwiony, pytał go chytrze:

— Co ci jest, staruszk?

Birara wyciągał trąbę do kociołka z ryżem i wachlował się uszami.

— Chcesz spróbować? — zadawał chłopak obojętne pytanie.

Słoń radośnie wywijał trąbę i pochrząkiwał wstydliwie.

Otrzymałszy garść ryżu, ostrożnie niósł przysmak do paszczy, długo żuł, cmokał i sapał.

Amra, jako prawdziwy Hindus, znał już niebezpieczeństwo utajone w ziemi Indii.

Przed udaniem się na spoczynek gwizdał na Birarę, a gdy słoń nadchodził, kazał mu udeptywać placyk, na którym zamierzał spędzić noc.

Birara sumiennie tupał, gnioł i ubijając ziemię ciężarem swego ciała.

Pewnego razu dozorca, przyglądający się tym czynnościom, zapytał chłopca:

— Po co każesz swemu słonowi chodzić w kółko i ubijać ziemię?

Zwierzę, Jedzenie, Wolność

Niebezpieczeństwo

— Mogą w niej być nory żmij, skorpionów, gryzących stonóg i jadowitych pajaków — odparł Amra.

Biały człowiek zrozumiał, że słoń swym ciężarem niszczył kryjówki niebezpiecznych stworzeń.

W czasie południowej przerwy w pracy, Amra prowadził słonia do rzeki.

Napiwszy się, ogromne zwierzę wchodziło w głębinę, nurzało się, a trąbą, jak z sikawki, polewało sobie boki i grzbiet.

Kornak dopomagał mu.

Brał suchą, twardą trawę, obmywał i nacierał grubą skórę przyjaciela tam, gdzie on sam nie mógł dosięgnąć trąbą.

Birara mruczał z zadowolenia, gdy chłopiec tarł mu brzuch, którego czepiały się żarłoczne kleszcze i bąki, szorował za uszami i przemywał mu oczy.

— Słoń musi cię lubić, mój mały? — zauważył dozorca.

— A tak! — odparł z całą stanowczością Amra. — Ja też lubię Birarę, zresztą zwierzę najlepiej spełnia rozkaz człowieka, gdy go lubi i wie, że bez niego nie mogłoby się obejść. Tak uczył mnie dziadzio, biedny Bauli...

— Masz rację! — zgodził się Anglik. — Jednak inni postępują inaczej. Nie dbają o słonie i nawet biją je.

— Pożałują tego kiedyś... — mruknął Amra, opierając nogę na trąbie Birary, aby wsiąść mu na kark.

Pewnego razu jeden z kornaków rzekł do chłopaka.

— Ojciec kazał ci przyjechać jutro do domu.

Amra skinął głową i zamyślił się.

Nie mógł stracić jutrzejszego dnia. Dozorca zapowiedział był¹⁶ właśnie wyznaczenie nowych terenów poręby. Do każdej partii drwali przyłączano kornaków ze słoniami.

Należało więc być na miejscu, aby uzyskać najdogodniejszy przydział.

Chłopak musiał jednak spełnić żądanie ojca.

Odszukał Barusza i rzekł do niego:

— Pójdę jutro o świcie do Suratu, bo wołają mnie do domu...

— Jutro sahib ma wyznaczać nową pracę! — wtrącił towarzysz.

— Wiem o tym! — kiwnął głową Amra. — Zastąp mnie. Wybierz przydział, najbliższy rzeki. Pozostawię ci Birarę... uważaj na niego!

Ledwie zaczął się sączyć brzask, chłopak zerwał się z bambusowej maty, zajrzał do słonia i, obudziwszy Barusza, pobiegł brzegiem rzeki.

Miał przed sobą kawał drogi, więc spieszył, nie zwracając uwagi na upał.

W tym samym czasie, Barusz prowadził słonia do kąpieli.

Siedząc na szerokim karku Birary, gapił się na wszystkie strony.

Zwierzę, wszedłszy w głębinę, pływało z głośnym parsaniem.

Stanąwszy na mieliźnie, Birara ze zdumieniem podniósł uszy i zamruczał.

Siedzący na nim kornak nie zeskoczył do wody, jak czynił to Amra, i nie pomagał mu w kąpieli.

Nie doczekawszy się pomocy, słoń jął¹⁷ polewać sobie grzbiet. Wciągał wodę i wyrzucał ją silną strugą. Czynił to jednak z wielką ostrożnością, aby nie uczynić krzywdy Baruszowi.

Chłopakowi znudziło się wkrótce, więc krzyknął:

— Ho-ho! Birara!

Słoń znowu podniósł uszy.

Jak to? Ma wychodzić na stromy brzeg, nie skończywszy toalety?

— Ho-ho, Birara! — powtórzył natarczywie Barusz.

Słoń nie ruszył się z miejsca.

Chłopak uderzył go pięścią w łeb i popędzał z okrzykiem:

— Ho-ho!

Bił piętami w szyję Birary i raz po raz tłukł go po głowie.

Zwierzę, Opieka, Przyjaźń,
Współpraca

¹⁶zapowiedział był — daw. czas zaprzeczły, stosowany dla wyrażenia czynności wcześniejszych od tych, które wyrażono czasem przeszłym prostym; znaczenie: zapowiedział wcześniej. [przypis edytorski]

¹⁷jął (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

Słoń wysoko podniósł zwiniętą trąbę i chrapnął gniewnie.

Chłopak uderzył go raz jeszcze nogami i podniósł pięść, aby zadać mu ponowny cios.

Nie zdążył jednak.

Birara porwał go, podniósł nad głowę, wstrząsnął, a po chwili, mrucząc głucho, już pluł w rzece.

Skończywszy z tym, wsadził go sobie z powrotem na grzbiet i, lypiąc małymi oczkami, truchtem wbiegł na stromy brzeg.

Barasz, ociekający wodą, siedział cichutko jak trusia.

Nauczka poskutkowała natychmiast, bo niecierpliwy chłopak obiecywał sobie w duchu, że nigdy już nie uderzy Birary.

Amra dotarł do domu w południe.

Oddawszy ojcu zarobione pieniądze, spytał:

— Co się u was stało? Oderwałeś mnie, ojcze, od roboty. Obawiam się, aby Barasz nie narobił jakichś głupstw, bo nie jest dostatecznie rozsądny.

Warora wydawał się zmieszany.

Milczał długo, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę z synem.

Wreszcie westchnął i oznajmił mu bez ogródek:

— Sprzedaję Birarę... Bassa z Garamu targował się ze mną długo... Stało na tym, że daję mi za słonia 500 rupii... Kupimy sobie drugie pole, Amra...

Chłopak zerwał się na równe nogi. Oczy pałały mu oburzeniem.

— Jeżeli sprzedasz Birarę, porzucę dom i pójdę w świat! — zawołał prawie groźnie.

Warora milczał.

Amra, podchodząc do ojca, mówił, zapalając się coraz bardziej:

— Sprzedać Birarę, starego przyjaciela, uczciwego, pracowitego i mądrego?! Jeżeli wy go nie lubicie, to ja go lubię i nie oddam Birary nikomu... nikomu!... Bassa jest oszust, zwykły oszust!... Ja dam wam za słonia 600 rupii... zapłacę je za miesiąc... kupicie sobie wtedy pole i nowy pług!... 600 rupii!

— Ty zapłacisz 600 rupii? — zawołał Warora.

— Nie przeliczyłeś pieniędzy, które zarobiłem przez jeden tydzień... Jest tam prawie 100 rupii... zarabiam więcej od dziadka Bauli, a będę miał jeszcze więcej... Za miesiąc zapłacę ci 600 rupii... — mówił Amra, z wyrzutem patrząc na ojca.

Do rozmowy wtrąciła się matka.

— Poczekajmy trochę — rzekła — chłopak nigdy nie rzuca słów na wiatr... Może zapłaci... a wtedy będziemy mieli nowe pole, pług, a słoń zostanie tu, u nas...

— Zapłacę! — zawołał Amra i tupnął nogą.

— Amra zapłaci!... — wtórowały mu cienkimi głosikami wystraszone Hubli i Radźori.

Na tym stanęło.

— A nie przeszkadzajcie mi tylko w pracy! — upomniał rodzinę chłopak, patrząc na wszystkich poważnym wzrokiem.

Pożegnawszy rodziców i małe siostrzyczki, poprawił opaskę na biodrach i szybkim krokiem opuścił chatę.

Amra spełnił obietnicę.

Nie widziano go w domu pięć tygodni prawie.

Pewnej niedzieli nagle zawitał. Przyjechał na sloni.

Birara poznał zagrodę i ucieszył się na widok mieszkających w niej ludzi.

Dotykał ich trąbą, chuchał na nich i pomrukiwał łagodnie.

Amra przywiózł 600 rupii — ciężki worek, pełny dużych, srebrnych pieniędzy.

Przejeżdżając przez Surat, kupił upominki.

Warora dostał nową fajkę i paczkę tytoniu, Soncza — żółtą chustkę na głowę, a dziewczynki — karmelki.

— No! Nareszcie Birara jest już zupełnie nasz! — zawołał Amra, rozdawszy upominki. — Będziecie mieli pole i nowy, piękny, czerwony farbą pomalowany pług. A nie mówcie już nigdy o sprzedaży Birary!

Ponieważ słoń stał obok i nad słuchiwał, chłopak zwrócił się do niego:

— Co to za pomysł, mój staruszk, sprzedać takiego wiernego przyjaciela?!

Birara machnęła uszami i trąbą, a potem chrząknęła pojednawczo.

Z pewnością chciał powiedzieć:
— Już po wszystkim, więc nie warto wspominać o tym...
Warora z podziwem patrzył na syna i rozmyślał.
Po chwili poklepał go po ramieniu i rzekł:
— Właściwie to Birara teraz do ciebie należy, Amra...
— Ech! — zachnął się chłopak. — Słoń jest nasz i pracuje sumiennie na całą rodzinę.
Birara znów machnął trąbą, łypnął oczkami i chrząknął cichutko.
— Nie ma o czym mówić! — taką myśl wyrażał głos łagodnego olbrzymia.
Amra spędził w domu cały dzień.
Najadł się wybornej polewki i placków, które tak smacznie przyrządzała matka.
Bawił się i dokazywał z siostrzyczkami.
Pomógł Sonczy napełnić wodą dużą kadź. Nakarmił Birarę, a potem zaprowadził go do kąpieli.
Chłopak pożegnał rodzinę późnym wieczorem i odjechał.
Birara długo oglądał się poza siebie.
Żał mu było zagrody, bo Soncza poczęstowała go bananami, a mała Radzori oddała mu swoją miseczkę z ocukrzonym ryżem.
Wiedział, że w dżungli nie ujrzy tych przysmaków.

ROZDZIAŁ III. W DŻUNGLI

Wyrąb lasu skończył się.
Drwale, kornakowie i inni robotnicy zostali zwolnieni.
Amra powrócił do Suratu. Nie znalazł tam żadnej pracy, więc podążył do domu.
W ciągu paru dni zorał wraz z Birarą oba pola, nazwoził drzewa dla matki.
Miał niepokój w duszy.
Musiał zarabiać na rodzinę. Tymczasem wszelkie jego zabiegi o pracę spełzły na niczym.
Okręty w okresie długo trwających ulew nie zawijały do portu.
Biali ludzie w tej porze przerywali roboty leśne.
„Źle! — myślał Amra, stojąc pewnego razu przy słoniu na placyku Suratu. — Coby tu takiego wymyślić?”
Lecz, widząc, ktoś inny — Miłosierny i Dobry — myślał o pracowitym, poczciwym chłopaku.
Przez placyk przechodziło właśnie kilku białych sahibów.
Jeden z nich przystanął nagle i przyjrzał się bacznie Birarze.
— Patrzcie! — zawołał. — Co za wspaniały okaz słonia! Gotów jestem zapłacić 100 rupii, jeżeli nie należy on do najszlachetniejszej rasy *kumiria*!
— Kapitan ma zupełną słuszność! — zauważył komisarz policji portowej. — Jest to Birara, najlepszy słoń z całego wybrzeża.
Rozmawiając, zbliżyli się do chłopaka, opartego o nogę słonia.
— Gdzie jest kornak tego zwierzęcia? — spytał nieznajomy Anglik.
Amra, milcząc, dotknął palcem piersi.
— Ty?
Chłopak pochylił głowę.
— Jak możesz sobie poradzić z takim olbrzymem?! — zaśmiał się kapitan, który nigdy nie widział tak małego kornaka.
— Tak, jak każdy inny poganiacz! — odparł pewnym głosem Amra.
Nieznajomy Anglik bacznie przyglądał się chłopakowi.
Śmiała, spokojna twarz Amry i pełna godności postawa jego podobała się kapitanowi.
Anglik uśmiechnął się do chłopca i spytał go:
— Czybyś nie zgodził się pracować w górach Satpury, mój mały?
— To zależy od tego, co mam robić i ile będę zarabiał, sahibie — odpowiedział Amra z lekkim ukłonem.
— Dobra odpowiedź! — zaśmiał się nieznajomy i poklepał chłopca po ramieniu.
— Będziesz zaganiał dzikie słonie do pułapki i oswajał je. Wyznaczę ci płacę po 8 rupii dziennie.

— Zarabiałem w lecie po 15 — mruknął chłopak — teraz jednak o pracę trudno... Zgadzam się na 8 rupii, sahibie!

— Doskonale! — zawołał kapitan. — Bądź tu zaraz po południu. Pojedziemy razem...

— Rzekłeś, sahibie! — odpowiedział Amra. — Znajdziesz mnie tu po południu.

Istotnie wkrótce po śniadaniu na placyku zjawił się ten sam biały pan i, usadowiwszy się wygodnie na szerokim grzbiecie Birary, dał znak do wyruszenia.

Amra rzekł cicho:

— Birara, naprzód!

Słoń zamruczał i poszedł zwykłym dla siebie drobnym, śmiesznym truchtem.

— Posłuszne masz zwierzę! — zauważył Anglik. — Wytresowałeś go dobrze!

— Jest to słoń, którego odziedziczyłem po dziadku, sahibie — objaśnił chłopak. — Nie mam z nim już żadnych kłopotów! Rozumie każde moje słowo. O, Birara to dobry, wierny przyjaciel!

Zawiązała się długa rozmowa, z której Anglik dowiedział się od małego Hindusa o wszystkim... Posłyszał o śmierci starego Bauli, o służbie Warory w pułku strzelców królewskich o bitwie, w której stracił był stopę; Amra opowiedział kapitanowi o ciągle ciężko pracującej, chorowitej matce i dwóch siostrzyczkach Amry — płochliwej Hubli i śmiałej Radżori.

Dopiero na trzeci dzień dojechali podróżnicy do małej wioski górskiej, ukrytej w wąwozach grzbietu Satpury.

Inny Anglik — pomocnik sahiba — przygotował już tłum Hindusów i dwa słonie.

Amra z pogodą spoglądał na bezkształtne, niezgrabne i słabowite zwierzęta.

„Co za nędzne *duazala!*... — myślał Amra. — Nie dałbym za nie po 200 rupii”.

Istotnie należały do drugorzędnej rasy słoni — *duazala*, żyjących w Indiach.

Po jednodniowym wypoczynku Anglik, którego i tu wszyscy nazywali „kapitanem”, wyruszył wraz z Amrą do dżungli.

— Muszę zrobić wywiad, aby ułożyć plan łowów — rzekł do chłopaka.

Wąska ścieżka, wydeptana przez słonie, prowadziła do lasu.

Tu droga nagle się urywała.

Przed podróżnikami stanęła ściana kniei. Gąszcz otoczył ich.

Z wysokich figowców zwisały zielone pędy pnących roślin.

Bluszcze, dzikie wino i liany zielonym płaszczem okrywały stare drzewa.

Stały niby grube, zielone kolumny.

Powikłana sieć krzaków, niedostępne zarośla bambusów, tamaryndów i palm na każdym kroku przegradzała drogę.

Zdawało się, że żadna istota nie przebrnie przez te chaszczce.

Birara jednak szedł swym niezmiennym truchtem, prawie się nie zatrzymując.

Uginały się pod parciem jego potężnej piersi krzaki, pękały zwisające, mocne jak sznurki liany, chyliły się i z trzaskiem padały młode drzewka, potrącane bokami olbrzymia.

Słoń przedzierał się przez najgęstszą gmatwaninę krzaków, trzciny i wysokich zgrzytliwych badyli; z niezwykłą zręcznością i sprytem kroczył wśród pni mahoni, palm, palisandrów i ligowców; człapał po grząskich, cuchnących bagnach: ze zdumiewającą łatwością wchodził na strome zbocza górskie i z głośnym prychaniem przepływał rzeki, a nawet nieduże jeziora leśne.

Kapitan nie spuszczał oczu z ziemi i pobliskich drzew.

Szukał śladów słoni, lecz nie spostrzegł ich.

— Cóż to? — mruczał Anglik. — Czyżby oszukał mnie radża Satpury?!

Amra nie umiał na to odpowiedzieć.

Przecież sam po raz pierwszy znalazł się w szczerzej dżungli.

Odsłoniła ona przed nim cały świat tajemnic i dziwów bez liku.

Chłopak co chwila zadzierał głowę i wykrzykiwał w zachwycie:

— Patrz, patrz, sahibie! Małpki! I tam... i tu... tu, zupełnie blisko!

Brunatne i prawie czarne, rude i popielate o długich rękach i ciemnych pyszczkach zwierzątka śmigały w wyżynie, wdrapywały się na szczyty drzew i znikły tam, odzywając się ostrzegawczym rechotaniem.

W gąszczu traw i sitowia czołgały się długie, grube węże i kryły się pod pokracznymi pniami butwiejących drzew.

Las, Natura, Rośliny,
Zwierzęta, Strach

Z rzadka rozlegały się krzyki ptaków, które unikają niedostępnych chaszczy.

Zagraża im tu ciągle niebezpieczeństwo.

Małpy wykradają i zjadają im jajka złożone w gniazdach, węże i drapieżne ptaki napadają na pisklęta, a na życie skrzydlatych mieszkańców lasu czyhają olbrzymie jadowite pająki i trujące, drapieżne stonogi.

Amra nie mógł spać po nocach.

Dżungla przerażała go.

Z daleka dobiegało ponure miauczenie tygrysa i pantery kryjącej się wśród skał.

Zawodziły żałośnie szakale, a odpowiadał im złośliwy chichot hieny.

Jakieś szmery, szelesty i zgrzyty rozlegały się zewsząd.

Amra nadśluchiwał trwożnie, wpatrywał się w mrok i coraz mocniej przyciskał się do nogi nieruchomo stojącego i czujnie węszącego słonia.

Birara zdradzał niepokój i miał się na baczności.

Z rzadka odzywały się ptaki nocne.

Z szelestem skrzydeł i cienkim piskiem śmigwały wśród drzew duże nietoperze.

Pokrzykiwały bojaźliwie nagle obudzone małpki.

Coś pluskało w czarnej wodzie bagnistego jeziora...

ROZDZIAŁ IV. KONIEC TROPIENIA

Dżungla wydała się małemu Hindusowi miejscem strachów i zgrozy.

W każdej chwili — czy w dzień, czy w nocy — wyczuwał czające się wszędzie niebezpieczeństwo.

Po dwóch dniach przedzierania się przez knieję spotkali wreszcie obszerną polanę, zarosłą trawą i bambusami.

— Zatrzymajmy się tu! — rzekł kapitan. — Musimy się pożywić, bo głód i skwar dokuczają nieznośnie.

Amra szepnął do słonia:

— Stój, stary!

Birara chrząknął z zadowoleniem i podał trąbę, aby dopomóc ludziom przy schodzeniu.

Podszedł natychmiast do drzewa i z przymkniętymi oczami jął¹⁸ się czochrać, pomrukując rozkosznie.

Kapitan wyjął żywność z worka. Były tam suchary, ryby i mięso w blaszankach, suszone owoce i spora baryłka wody.

Przez cały czas tropienia słoni nie jedli gorącej stawy.

Anglik nie pozwalał rozpalać ogniska, gdyż obawiał się spłoszyć tym czujne zwierzęta.

Amrze smakowały konserwy, lecz tęsknił po trochu do ciepłej polewki z ryżem, pieprzem i kawałkami tłustego, baraniego mięsa.

Chciałby się też napić herbaty z wonnym, czerwonym cukrem trzcinowym.

Siedząc pod drzewami i spożywając śniadanie, cierpieli od bąków i komarów¹⁹.

Kapitan, uderzając się dłonią w spocony kark, zgniótł dużą, brunatną muchę i teraz oglądał ją uważnie.

— Hm... — mruknął. — Jest to słoniowa mucha. Niezawodnie słonie przechodziły tu niedawno... Musimy się spieszyć, aby nie odbiegły daleko... Ruszajmy już, mały Amra!

— Słucham, sahibie! — odparł chłopak, zrywając się pośpiesznie i zawiązując worek.

Podeszli obaj do słonia. Birara wyrwał młode, bladeżółte jeszcze pędy bambusów i ze smakiem zjadał.

Niezadowolonym wzrokiem zerknął teraz w stronę ludzi.

Chciałby tu popasać jak najdłużej.

Wkrótce jednak szedł już przez gęste zarośla.

Z trzaskiem gięły się i łamały potężne, grube trzciny, roztrącane i tratowane przez słonia.

Wśród bambusów, paproci i papirusów leżało ukryte jezioro.

¹⁸jąć (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

¹⁹cierpieli od bąków i komarów — dziś: cierpieli z powodu bąków i komarów. [przypis edytorski]

Gdy Birara podchodził do grząskiego brzegu, spadł mały deszcz, zwykły w tej porze roku.

Potoki, szumiące strugi ciepłej wody runęły z obłoków na ziemię.

Padaly połamane przez ulewę gałęzie. Pokotem kładły się młode bambusy, pierzaste liście paproci i wybujala nadmiernie trawa.

Trwało to krótko, lecz dżungla zalana była wodą.

Kapitan kłął, bo teraz nikt nie mógł dojrzeć śladów na ziemi.

Birara z głośnym pluskiem i człapaniem szedł naprzód, kichając i prychnając, deszcz bowiem zalewał mu nozdrza.

Nagle zwinął trąbę i podniósł ją jak mógł najwyżej.

Rozstawił szerokie, do liści łopuchów podobne uszy i poruszał nimi ostrożnie.

Chrapliwie wciągał powietrze.

Wreszcie stanął i zaczął nadśluchiwać.

Jakieś zwierzę z łomotem i głośnym parsaniem biegło, tratując krzaki.

Amra ujrzał je wkrótce. Był to nosorożec.

Umykał przed czymś, co go wypłoszyło i przeraziło.

Ciemnoszary kadłub jego migał w gąszczu zarośli.

Mała, krótka głowa, uzbrojona w potężny róg nad nosem, pochylała się co chwila i podnosiła.

Przy każdym jej ruchu wylatywały w powietrze wyrwane krzaki i gałęzie drzew, a kaskady wody bryzgały wokół.

Nosorożec przemknął jak toczący się z gór głaz i zniknął w dżungli.

Amra myślał o tym, że nie chciałby się spotkać z tym zwierzęciem, nie mając przy sobie Birary.

Myśli kapitana w tym samym czasie krążyły dokoła innych zgoła rzeczy.

Zadawał sobie pytanie.

— Co mogło spłoszyć nosorożca?

Wiedział, że silny i śmiały zwierzę niełatwo rzuca się do ucieczki.

Dwie tylko istoty napawały go strachem i zmuszały biec na oślep.

— Człowiek i tygrys... najbardziej zaś — człowiek.

Postanowił więc zbadać tę sprawę.

Zesłizgnąwszy się po boku Birary, wziął karabin i brnąc po wodzie, wszedł do chaszczki.

Birara sunął za nim, stąpając ostrożnie.

Anglik dochodził już do zarośli palm, gdy z głuchym rykiem wypadł z nich piękny, brunatny byk, podniósł rogatą głowę i patrzył błyszczącymi, pełnymi wściekłości oczyma.

Był to dziki bawół dżungli — *gaur*.

Ujrawszy człowieka, pochylił łeb i runął na niego.

Kapitan w kilku susach był już przy słoniu.

Birara zręcznie podrzucił go sobie na kark i przyglądał się gaurowi.

Byk, straciwszy przed oczu ściganego człowieka, stanął jak wryty.

Był zdumiony i przerażony nagłym zniknięciem wroga.

Słoń wyczuł myśli bawoła i trzymając trąbę w pogotowiu, ruszył mu naprzeciw.

Wiedział, co się ma stać, lecz, ostrożny i oględny, przygotował się do odparcia ataku, skierowawszy kły w pierś stojącego nieruchomo byka.

Gaur oprzytomniał i jął²⁰ się cofać.

Zawróciwszy gwałtownie, dużymi skokami uciekał, smagając się ogonem.

— He — mruknął sahib do chłopca. — Źle by się dla mnie skończyć mogło to spotkanie, gdyby nie Birara! Jak myślisz, mały?

— Byk miał mocne, ostre rogi... — szepnął Amra.

— Otóż to! — uśmiechnął się kapitan i poklepał słonia po szyi. — Pocziwy Birara!

Jechali dalej, a coraz wolniej, gdyż trafili na rozległe moczary, pełne sterczących kęp i zwalonych przez burzę drzew.

Spotkali kilka saren, mknących w szalonym popłochu.

Na uboczu, czając się w trawie, przesuwała się para szakali.

²⁰jąć (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

— Sarny i szakale biegną razem? — szepnął Anglik. — Teraz już wiem... Gdzieś tu w pobliżu muszą znajdować się ludzie...

Jednak długo tak jeszcze jechali, zanim Birara stanął nagle jak wryty i zachrapał trwoźnie. Było już ciemno. Zbliżała się noc.

Z krzaków wypadło trzech Hindusów.

— Co wy tu robicie? — zapytał Anglik, podnosząc karabin do ramienia.

— Jesteśmy *panikisi*, łowcy słoni! — odpowiedzieli chórem. — Sahib z wioski Dożar posłał nas na tropienie słoni...

Byli to więc ludzie wysłani przez pomocnika kapitana.

Łowcy opowiedzieli, że stado słoni pasie się na moczarach, otoczonych zaroślami bambusów.

— Widzieliśmy pięciu starych samców, resztę stanowią samice i młode słonie! — dodał starszy z panikisów. — Sahib widziałby już ich ślady, gdyby nie ulewa...

— Nie spłoszyliście ich? — zapytał Anglik.

Hindusi uśmiechnęli się tajemniczo.

— Sahibie — odparł jeden z nich — panikis umie podczołgać się do słonia tak blisko, że potrafi założyć mu pętlę na nogę... Słonie nie zwęszyły nas i pasą się spokojnie...

Kapitan kazał im powracać do wsi i czym prędzej sprowadzić wynajętych naganiaczy i słonie.

Znalazszy suchy, kamienisty pagórek, Anglik z małym kornakiem urządzili sobie obóz, w którym spędzili noc spokojnie.

Kapitan przekonał się, że panikisi nie okłamali go.

Obudziwszy się przed świtem, biały człowiek usiadł na posłaniu i jął nadśłuchiwać.

Na razie nie słyszał nic pociesającego.

Gibbony, jak zwykle, odzywały się z rzadka krótkim, basowym wyciem, witając nadchodzący dzień.

Skrzeczwały jakieś ptaki. Cykały krążące dokoła nietoperze i huczały bąki.

Wtem dobiegł go z daleka dziwny dźwięk.

Przypominał cienkie, jęklive zawodzenie trąbki, jakiś trwoźny jazgot.

Kapitan zatarł ręce. Posłyszał upragniony głos słonia.

To go uspokoiło i ucieszyło niewymownie.

Zaraz po wschodzie słońca kazał Amrze wozić się po dzungli.

Przecinali las w różnych kierunkach, nie zbliżając się zbyt do trzęsawiska, gdzie się pasły słonie.

Ujrawszy niewysokie, skaliste pagórki, kapitan zeskoczył na ziemię i jął się rozglądać po okolicy.

Długo coś miarkował, mierzył krokami, rysował w notatniku plan, aż rzekł do Amry:

— Tak, mój chłopcze, tu właśnie urządzimy *kbeddę*: mocną zagrodę, do której napędzimy dzikich braci twego Birary!

Amra nigdy nie widział, jak ludzie chwytają słonie, więc też z niecierpliwością wyglądał przybycia naganiaczy.

ROZDZIAŁ V. BIRARA — ŁOWCA

Birara żył już bardzo długo.

Pamiętał on złe i dobre czasy. Coś niecoś pozostało mu nawet ze wspomnień o wolności.

Nie tęsknił za nią, lecz zapomnieć nie mógł.

Teraz, gdy dnie i noce spędzał w dzungli, wspomnienia te odżyły w nim z niepojętą siłą.

Wolność przemówiła nagle do starego słonia.

Krzyczała natrętym rechotaniem i skrzekiem małych, popielatych małpek.

Tych — zwinnych, wesołych małpek, co mają długie ogonki i zabawne czubki nad czołem.

Rechotały i zagładały wszędzie, zuchwale i ciekawe.

Musiały chyba wiedzieć, że w Indiach uważają je za „święte”, a nikt ich tu nie skrzywdzi.

Wolność, Niewola, Zwierzę,
Praca

Tęsknota za czymś drogim, co minęło już bezpowrotnie, dręczyła Birarę.
Słyszał jej smętny głos w szczebiotliwej, krótkiej piosence czarnego drozda.
Czuł ją w urywanych nawoływaniach lazuruwej cissy²¹.
Gdy słoń pochwytywał dalekie, ponure poryki pantery, bunt zrywał się w jego łagodnym zawsze sercu.
Wszędzie i ciągle słyszał teraz tajemniczą mowę bezgranicznej wolności.
Głosy ptaków i zwierząt, szelest czołgającej się żmii wołały ku niej.
Nawet szmer poruszanych wiatrem liści, jednostajny, dokuczliwy plusk padającego deszczu, bzykanie i granie owadów budziły w nim dalekie echa utraconego szczęścia.
Birara przez całe życie ciężko pracował wraz z Bauli, a teraz z Amrą.
Aż nagle teraz błąka się po dżungli bez pracy!
Bo cóż dla niego znaczy nieść na karku małego kornaka i obcego, białego człowieka?!
Nie czuje prawie tego ciężaru...
Mógłby się więc cieszyć, zrywać świeże, zielone gałązki, chrupać spokojnie młode, soczyste bambusy i nic, ale to nic nie robić!
Jakież to byłoby szczęśliwe, błogie życie!
I raptem — te budzące się nagle wspomnienia...
Ta tęsknota za wolnością...
Czuł w sercu żal do kogoś, coś się burzyło w nim i żądało odwetu.
Birarę drażnili teraz ludzie.
Ciągle nadstawiał uszu i węszył.
W dżungli działy się istotnie rzeczy dziwne. Polowanie, Podstęp
Na rozkaz białego sahiba, Hindusi otoczyli ogromny szmat kniei podwójnym kołem czatów²².
W jednym tylko miejscu nie było zaczajonych ludzi. Za to zbudowano tam dwa rozchodzące się w różne strony parkany z grubych pali.
Skrzydła zagrody schodziły się przy wąskim wejściu do kheddy.
Stanowił ją okrągły plac, otoczony wysokim, mocnym płotem.
Wejście do kheddy zamykało się grubą kratą. Podniesiono ją jednak za pomocą sznura przerzuconego przez gałąź sąsiedniego drzewa.
Birara, węsząc na wszystkie strony, rozumiał, że las otoczony jest ludźmi, a w środku — na niedostępnych moczarach, wśród bambusów i chaszczki pasą się dzikie słonie.
Jakaś trwoga zakradła się do serca Birary.
Kapitan, obejrzawszy uważnie zagrodzenie kheddy, schował się poza drzewami i krzyknął:
— Słonie, naprzód!
Wydawszy ten rozkaz, gwizdnął przeciągle.
Birara, z siedzącym na nim Amrą, wchodził w głąb osaczonej dżungli.
Ze wszystkich stron dochodziły teraz krzyki naganiaczy, stuk kijów o pnie drzew, wrzask i nawoływanie.
Cały ten zgłęb pokrył w jednej chwili straszliwy łomot, głuchy tupot ciężkich nóg i cienie, przeraźliwe trąbienie spłoszonych słoni.
Pędziły na osłep, tratując krzaki, obalając młode drzewa, ślizgając się i padając na grząskich polanach, okrytych wodą po ciągle spadających ulewach.
Olbrzymy zaczęły się miotać, czując zasadzkę i węsząc ludzi.
Usiłowały przerwać zdradliwe koło naganiaczy, lecz nie zdołały.
Strzały oddawane w powietrze, rozpalone ogniska i płonąca, sucha trawa przeraziły słonie.
Szukając wolnego, bezpiecznego przejścia ogromne zwierzęta posuwały się coraz bliżej do zdradliwej kheddy.
Ostry węch podpowiadał im, że nie spotkają tam ludzi i buchającego dymem ognia.
Tylko jakieś bezwiedne przecucie szeptało natarczywie:
— Tam zguba! Nie chodź! Nie chodź!

²¹cissy — piękny, barwny ptak z rodziny wron. [przypis autorski]

²²czaty — grupy zwiadowców. [przypis edytorski]

Ludzie jednak ścigali olbrzymy leśne, hałas i zgiełk wzmagaly się z chwilą każdą, coraz bliżej buchały grzmiące salwy, języki płomieni płaśaly tam i sam.

W chwili rozterki i popłochu słonie ujrzały nagle Birarę i jego towarzyszy.

Stały spokojnie i patrzyły na miotających się bezładnie pobratymców.

Nagle zawróciły i spokojnym truchtem pobiegły wprost do kheddy.

Minęły parkany i weszły do wnętrza pułapki.

Za nimi, tłocząc się i potrącając, z sapaniem, chrząkaniem i przeraźliwym rykiem wrywały się oszalałe ze strachu słonie.

Biały sahib przeciął sznur nożem.

Ciężka krata opadła natychmiast, zamykając w zagrodzie obfitą zdobycz.

Birara stał w środku kheddy i przyglądał się nieznanym rodakom.

Przeciągał ku nim trąbę i obwąchiwał.

Ogarnął go w tej chwili niewymowny smutek, tak wielki i bolesny, że nie usłuchał nawet rozkazu Amry.

Chłopak chciał podjechać do pali zagrody, aby dopomóc trzem panikisom bezpiecznie dostać się do wnętrza.

Dopiero po trzecim okrzyku kornaka, zdumionego niekarnością słonia, Birara przeniósł przez parkan łowców i szedł, prowadząc kryjących się za nim Hindusów.

Wprawnych panikisów wynajął na tę wyprawę biały sahib!

Być może najlepszych w całym Hindostanie.

Myśliwi na słonie znali dobrze imiona Guarry, Nandera i Pangala.

Ich to właśnie ukrywał za swym ciałem dziwnie teraz samotny i rozdrażniony Birara.

Panikisi pokazali od razu swoją sztukę łowiecką.

Jeden po drugim padały słonie, schwyte mocną pętlą za tylne nogi.

Próżno usiłowały powstać, próżno wyciągały trąby, aby porwać człowieka, uwijającego się dokoła!

Łowcy z szybkością i sprawnością krępowali pętami potężne zwierzęta...

Nawet trąby zaciśnięte rzemieniami, znieruchomiały, podciągnięte pod dolną szczękę.

Zgrzytnęła piła, wrzynająca się we wspaniałe kły; wtórowały jej żalosne jęki i jazgotliwy, pełen bólu ryk.

Jeden po drugim odpadały kły — zdobycz białego sahiba i hojna zapłata za jego trudy.

Kapitan krzyknął coś do kornaków.

Hindusi szybko założyli swoim słoniom chomąta i szleje z orczykiem.

Birara zaczął hakować o sznury krępujące największego z jeńców i wywłócił go z zagrody.

Naganiacze zakładali na tylne nogi słoni mocne łańcuchy i uwiązywali je do grubych pni.

Po chwili zwolnione z pęt zwierzęta podniosły się i usiłowały zerwać żelazne kajdany.

Przebiegły człowiek wiedział, jak należy zatrzymać przy sobie porwaną podstępem zdobycz.

Birara wraz z Amrą pozostał w pobliżu pułapki.

Chodził ponury i smutny.

Nie smakowały mu tego dnia grube, zielone bambusy, ledwie wybujałe z rozmięklej od deszczów ziemi; nie dotknął rzuconych mu przez chłopaka świeżych korzeni i jakichś owoców zbieranych w dżungli.

Coś świtało w ogromnej głowie oswojonego słonia.

Niby wstyd, niby żal do ludzi.

Przez kilka dni trzymano jeńców na uwięzi.

Nie karmiono ich i nie dawano im wody do picia.

Wzdychały ciężko; chwilami rozpaczliwie ryczały; skarżyły się żalośnie.

Na widok podchodzącego do nich człowieka gniewnie podnosiły trąby i wymachiwały uszami, chrapiąc i przestępując z nogi na nogę.

Nie chciały się poddać. Wolały umrzeć niż utracić wolność i ulec przemocy człowieka.

Głód i pragnienie przełamały jednak ich opór i dumę.

Powoli zaczęły jeść rzuconą im paszę, a wkrótce brały już z rąk przyszłych poganiaczy banany, placki ryżowe i kawałki soli.

Po tygodniu początkowego oswojenia, zdjęto z nich kajdany.

Polowanie, Zwierzę,
Cierpienie

Więzienie, Głód, Niewola,
Zwierzęta, Obcy

Zarzucono im pętle na szyję i powiązano parami.
Oswojone słonie szły na czele, prowadząc całą gromadę do wsi.
Zbiegła się tam ludność z całej Satpury.
Biały sahib dobrze sprzedał schwytane słonie.
Hindusi uprowadzali je ze sobą.
Odtąd miały one przyzwyczać się do pracy i milczeć, gdy kornak bije je po głowie żelaznym hakiem.
Nie każdy bowiem poganiacz myśli tak, jak myślał stary Bauli i jego wnuk — Amra.
Mógłby coś o tym opowiedzieć uwiezionym rodakom sędziwy Birara, lecz nie śmiał, gdyż patrzyły na niego z pogardą.
Ze smutkiem spoglądał na znikające w oddali słonie i wzdychał ciężko.
Tęsknota i rozgoryczenie nie opuszczały go.
Coś zatruło spokój i niezmienną pogodę w sercu Birary.

ROZDZIAŁ VI. KRÓLEWICZ NASSUR

Kapitan, sprzedawszy schwytane słonie, wynajął Amrę, aby go odwiózł do Uzzainu, stolicy maharadży Satpury.

Obiecał mu całe 30 rupii za ten daleki przejazd, więc chłopak zgodził się natychmiast. Zaraz też obiegł wszystkie chaty i wypytał wieśniaków o drogę. Skończywszy niezbędne przygotowania, wyruszyli nazajutrz w drogę. Gwarzyli sobie wesoło. Amra jednak z niepokojem spoglądał na Birarę. Słoń szedł ze smutnie opuszczoną trąbą, milczący i ponury.
„Chory jest, czy co? — myślał chłopak. — Kąpał się dziś, więc nic mu nie dolega... Cóż mu jest?”

Głowił się nad tym pytaniem mały kornak przez cały dzień, lecz odpowiedzi nie mógł znaleźć.

Droga szła przez lesiste góry. Tam i sam przecinały ją szumiące, wartkie potoki. Spotykali inne słonie, idące z kornakami. Ciągnęły belki i duże złomy kamieni lub szły obciążone workami i skrzyniami.

Birara, który zwykle lubił te spotkania, kroczył dalej, obojętny i zamyślony. Dopiero na trzeci dzień podróżnicy ujrzeli w oddali znaczne miasto. Wznosiły się tam wieże i kopuły świątyni, otoczonych wysokimi drzewami. Szeroka droga, wykładana białymi płytami i obsadzona dwoma rzędami palm, prowadziła do pałacu maharadży Tasfina, władcy Satpury.

Straż, stojąca przy wspaniale rzeźbionej bramie, powitała białego sahiba uniżonymi ukłonami.

Wojownicy i świta dobrze znali przyjaciela swego króla. Wiedzieli, że maharadża w młodości służył w wojsku razem z kapitanem.

Birara wkroczył spokojnie na dziedziniec pałacowy z taką pewną miną, jak gdyby przez całe życie zamieszkiwał posiadłości maharadży.

Stanął przed kolumnami prowadzącymi do wnętrza siedziby królewskiej i dopomógł kapitanowi zejść na ziemię.

Sahib, zwracając się do starego Hindusa w czerwonym płaszczu, rzekł do niego:
— Mój dobry Wakazasie! Każ, aby zaopiekowano się tym chłopcem i jego słoniem. Muszę ich tu zatrzymać przez kilka dni...

— Rozkazałeś, sahibie — odparł Hindus i skinął na Amrę.
Starzec wskazał chłopakowi dom, gdzie się mieściła zwykle służba odwiedzających maharadżę gości.

Amra wykąpał zakurzonego i zbryzganego błotem Birarę i odprowadził go na pastwisko.

Była to obszerna łąka, podnosząca się na zbocza góry, gdzie rozpoczynała się dżungla. Wstępu do kniei strzegły patrole żołnierzy, gdyż odbywały się tam sławne polowania, urządzane dla honorowych gości przez władcę Satpury.

Parkan z drutu kolczastego opasywał dżunglę pomiędzy Uzzainem a Dustorą.

Różnorodną zwierzynę chowano w ostępach dziewiczego lasu.

W tym czasie maharadża nie miał gości.

Cała łąka z zaroślami krzaków i biegnącym, warkotliwym potokiem należała teraz niepodzielnie do Birary.

Słoń rozpoczął od tego, że wnet po kąpeli wytarzał się w wysokiej trawie, a potem długo ocierał się bokami i zadem o skały.

Ulżyło mu to nieco, więc poweselał nawet.

Od kilku dni po raz pierwszy chrząknął i machnął ogonem.

Najadłszy się soczystej trawy, wszedł do zarośli bambusów i jął²³ poszukiwać młodych pędów.

Czynił to leniwie, bo oczy mu się kleiły, a trąba zwiśla bezwładnie.

Już zaczął drzemać, gdy posłyszał młody, dźwięczny głos.

Ktoś wołał:

— Słoń! Słoń!

Birara podniósł głowę i obejrzał się. Przez łąkę biegł mały chłopak w białym ubraniu, przepasanym szeroką szkarłatną wstęgą.

Zaciekawiony Birara poszedł mu na spotkanie, wyciągając trąbę.

Stanęli naprzeciwko siebie. Słoń obwąchał chłopca i dotknął jego ramienia.

Jak każde zwierzę, od razu zrozumiał, że mały, nieznajomy chłopak miał dobre, szlachetne serce.

Łypnął więc oczkami i trąbą objął go za ramiona. Chuchnąwszy mu w twarz, zamruczał łagodnie.

Chłopak poszperał w kieszeni białej kurteczki i znalazłszy karmelek, poczęstował nim Birarę. Słoń wziął przysmak ostrożnie, obwąchał i z cichym chrząkaniem włożył do paszczy.

Chłopak zaśmiał się wesoło.

Dźwięk jego głosu podobał się Birarze, gdyż brzmiał tak, jak mowa Amry.

Wyciągnął znów trąbę, pochwycił chłopca pod pachy i wsadził sobie na grzbiet.

Nowy przyjaciel klasnął w dłonie z uciechy.

Birara mruknął i podreptał truchtem przez łąkę przy wesołych okrzykach małego jeźdźca.

Amra tymczasem, spożywszy miskę bobu, obficie polanego żółtym, piekącym sosem imbirowym, zamierzał trochę się przespać.

Podszedł już był do pryczy, okrytej grubymi, miękkimi matami, gdy posłyszał trwożne krzyki i tupot biegnących ludzi.

Wyrzał przez okno.

Wojownicy i słudzy bieгли, wymachując rękami i krzycząc przeraźliwie:

— Nassur!... Królewicz Nassur!... Na ratunek!

Amra, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, wybiegł z domu i podążył za tłumem.

Razem ze wszystkimi dobiegł do łąki i stanął zdumiony.

Gromada żołnierzy, urzędników i lokajów pałacowych otaczała Birarę.

Amra spostrzegł od razu, że słoń się gniewa.

Zwiniętą trąbę podnosił wysoko, szeroki łeb o niespokojnie poruszanych uszach dzierał coraz głośniejsze i wydawał urywane, przeraźliwe trąbienie.

Na karku Birary siedział mały chłopak w białym ubranku, klaskał w dłonie i śmiał się dźwięcznie, pokrzykując:

— Nie daj mnie! Nie daj mnie, dobry słoniu!

Na próżno przyskakiwali do Birary co najętsi wojownicy, chcąc zdjąć małego jeźdźca.

Słoń robił gwałtowne zwroty, roztrącał tłum, groził trąbą i kłami.

Amra, widząc, że zakrawa to na poważną awanturę, przecisnął się przez ciżbę i dopadł wreszcie słonia.

— Birara! Mój stary druhu! — zawołał mały kornak z wyrzutem. — Cóż to za hece wyprawiasz?!

Słoń od razu się uspokoił i opuścił trąbę. Po chwili położył ją na ramieniu Amry, mruczając pojednawczo.

— No, dobrze — ciągnął dalej chłopak — ale co ci do głowy strzeliło, starowinko? Skąd ten hałas?!

²³jąć (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

Nieznamy chłopak, siedzący na słoniu, popatrzał na Amrę i zanosząc się od śmiechu, zawołał:

— Ach, co za wesoła zabawa! Ujrzałem tego pięknego słonia...

— O, tak! — odparł z dumą kornak. — Birara jest pięknym słoniem, prawdziwym „kumiria”!

— ...podszedłem do niego i dałem mu cukierek — ciągnął biało ubrany chłopczyk. — Birara zaczął się bawić ze mną... Wsadził mnie sobie na grzbiet i zaczął nosić po łące...

— Czy umiesz mówić do słonia? — zapytał Amra.

W tej chwili jakiś poważny, opasły dostojnik w czerwonym zawoju ścisnął go za ramię.

— Jak śmiesz, prostaku, tak po grubiańsku zwracać się do królewicza Nassura?! — syknął gniewnie.

— Zostaw go w spokoju, Bali! — zawołał królewicz. — Chcę się zabawić... Zbrzydł mi pałac i wasze towarzystwo! Rozkazuję wam odejść i pozostawić nas samych...

Z niskimi pokłonami, co chwila przykładając dłonie do ust i piersi, cofnęły się dostojnicy, świta, żołnierze i sługi.

— Jak się nazywasz? — spytał królewicz, uśmiechając się do zmieszanego chłopca.

— Jestem Amra, syn Warory z Suratu, kornak Birary! — odparł z ukłonem.

Po chwili skłonił się jeszcze niżej i rzekł:

— Wybacz mi, królewiczu, moją mowę prostaczą, lecz wieśniakiem jestem i nikt mnie nie uczył... Pracujemy ciężko obaj: Birara i ja...

Nassur uśmiechnął się znowu i zawołał:

— Siadaj obok, przyjacielu, i opowiedz mi o sobie...

Amra skinął na słonia, a ten z cichym mručeniem wsadził go sobie na grzbiet.

Nassur z zaciekawieniem słuchał opowiadania nowego znajomego, chwilami wykrzykiwał zdumionym głosem lub wybuchał beztroskim, wesołym śmiechem.

Amra kazał Birarze iść na miasto.

Jechali więc ulicami Użżainu, a Hindusi na widok królewicza kłaniali się do ziemi lub nawet klękali przed nim. Zatrzymali się nad rzeką, gdzie mały kornak pomógł Nassurowi zejść ze słonia i pokazał mu, jak Birara się kąpie, co w zachwytyt wprawiło syna maharadży.

Powróciwszy do pałacu i pożegnawszy królewicza, Amra puścił swego słonia na łąkę, a sam pobiegł do domu, bo spać mu się chciało straszliwie.

Tego dnia jednak nie sążone mu widać było zażyć spokoju i wypoczynku.

Przysłano po niego z kancelarii pałacowej.

Ten sam opasły dostojnik, który chciał go skarcić za niestosowne odezwanie się do królewicza, rzekł do niego:

— Najjaśniejszy Nassur pragnie nabyć twego słonia, chłopcze!

— Birara nie jest do nabycia, dostojny panie! — odpowiedział Amra.

— Zrozum, że królewicz pragnie tego! — upomniał go urzędnik.

— Niech królewicz zrozumie, że ja nie pragnę sprzedania mego słonia! — odparł chłopak i spojrzał na mówiącego płonącymi oczami pełnymi uporczywości.

— To może źle się dla ciebie skończyć... — syknął dostojnik.

Amra nic nie odpowiedział, tylko mocniej zacisnął wargi i zmarszczył brwi.

W tej chwili wszedł biały sahib i ujrawszy ponurą twarz chłopca, jął²⁴ wypytywać o przyczynę złego humoru.

Dowiedziawszy się o życzeniu Nassura, Anglik wrzusił ramionami i rzekł:

— Zmusić kogoś do sprzedania majątności byłoby bezprawiem. Królewicz natomiast może wynająć słonia wraz z jego poganiaczem. Czybyś się zgodził na to, Amra?

Chłopak skinął głową i odparł:

— Praca jak każda inna! Zgadzam się, o ile mi zapłacą. Sahib już wie, że muszę pomagać rodzinie...

Anglik oznajmił urzędnikowi, że sam pomówi z maharadżą i wyszedł razem z chłopcem.

— Bądź spokojny, mały! — szepnęła do niego. — Nie pozwolę cię skrzywdzić. Zresztą znam królewicza... jest to dobre, pocziwe dziecko... Wszystko się ułoży pomyślnie, Amra...

²⁴jął (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

Chłopak podziękował sahibowi i powrócił do izby gościnnej.
Jeszcze raz nie udało mu się położyć, gdyż podano wieczerzę — smaczną i sutą.
Dopiero uporawszy się ze wszystkim, najedzony i senny, upadł na posłanie i usnął wreszcie jak kamień.

ROZDZIAŁ VII. „WĄWÓZ KRÓLEWICZA”

Zaczęło się zupełnie nowe, całkiem niezwykle życie.

Birara nic nie robił i tył straszliwie, a rozleniwił się tak dalece, że wzdychał nawet na myśl o jedzeniu.

Wszakże i to już była dla niego praca. Brać pożywienie, wkładać do paszczy, żuć, łykać!...

Królewicz, zaprzyjaźniwszy się z nim i małym kornakiem, odbywał codziennie długie przejażdżki.

Co prawda, nie były one tak wesołe, jak ta pierwsza, niespodziewana.

Na Birarę nakładano teraz czerwone popregi²⁵, napiersńnik²⁶ i terlicę²⁷, z góry zaś okrywano siatką ze srebrnych sznurów ze szkarłatnymi frędzlami.

Amra siedział na karku słonia, a za nim na umocowanym do terlicy krzeselku — jechał Nassur.

Słonia otaczała kawalkada jeźdźców ze świty królewskiej, a z tyłu cwałował oddział przybocznej gwardii maharadży.

Chłopcy zaprzyjaźnili się serdecznie i poza tymi okazałymi przejażdżkami po okolicach stolicy, spotykali się jeszcze często po kryjomu.

Otoczenie maharadży śledziło zazdrośnie, aby młody następca tronu Satpury nie zniżał się do pospólstwa. Straż przyboczna nie dopuszczała nigdy zbliżenia jakiegos tam zwyczajnego śmiertelnika, nieokrzesanego wieśniaka do osoby królewicza.

Wymagała tego surowa, wschodnia etykieta²⁸ dworu dumnego maharadży Tasfina.

Mały królewicz nudził się w pałacu, tymczasem nie mógł stąpnąć kroku bez swego wychowawcy, Bali, piastującego godność wielkiego ochmistrza dworu.

Zbrzydło mu to niewymownie, a stało się wprost nieznośne od chwili spotkania Birary i znajomości ze sprytnym i wesołym Amrą.

Długo myślał nad tym, jakby się zwolnić spod opieki swego nudnego wychowawcy.

Nie mogąc nic obmyślić, postanowił działać otwarcie i śmiało.

— Bali! — zawołał pewnego razu do wielkiego ochmistrza.

— Sługa twój, wielki panie, synu brata słońca, słucha cię... — zaczął głądzić dostojnik.

— Czekaj! — machnął ręką Nassur. — Skończysz z tymi tytułami jutro, a tymczasem, chcę w tej chwili być wolny i wymknąć się z pałacu na zabawę z Amrą i jego słoniem!

— To okropne! — przeraził się stary Bali. — Najjaśniejszy, blaskiem równy słońcu, najpotężniejszy władco, synu boskiego Tasfina...

— Milcz i słuchaj! — marszcząc brwi, zawołał Nassur. — Powiadasz, że „jestem najpotężniejszym władcą”. Jeżeli tak, to wypuść mnie z pałacu, jeżeli nie uczynisz tego, obiecuję, że utnę ci głowę, gdy będę maharadzją!...

Ochmistrz upadł na kolana.

— Zlituj się nad wiernym sługą... — bełkotał. — Jeżeli wypuszczę ciebie, królewiczu, wielki maharadza utnie mi głowę przedtem, niż odziedziczysz po nim tron Satpury...

— Urządź ci wspaniały pogrzeb, mój dobry Bali! — z wesołym śmiechem przerwał mu Nassur. — Jakoś tam damy sobie radę, mój stary!

Od tej rozmowy codziennie po południu, w godzinach, gdy maharadza przyjmował ministrów, kapłanów i wyższych dostojników pałacowych, królewicz Nassur biegł na umówione miejsce.

²⁵popreg — element rzędu końskiego, rodzaj pasa przebiegającego pod brzuchem konia i łączącego obie strony terlicy; służy utrzymaniu siodła we właściwym położeniu. [przypis edytorski]

²⁶napiersńnik — część uprzęży mocujący ją na piersi zwierzęcia i zapobiegająca zsuwaniu się siodła. [przypis edytorski]

²⁷terlica — sztywna podstawa, stelaż siodła. [przypis edytorski]

²⁸etykieta — obowiązujący sposób zachowania się w pewnych środowiskach. [przypis edytorski]

Amra znalazł doskonałą kryjówkę.

W górach, okrytych dżunglą, wykrył długi i szeroki wąwóz. Nazwał go „wąwozem królewicza”.

Ani świta maharadży, ani też warty strzegące zwierzyny w dżungli, nie mogły dostrzec ukrytych w nim spiskowców.

Nawet największego z nich.

Birara, widząc królewicza pędzącego do wąwozu, dreptał za nim z wesołym pomrukiem.

Lubił te wyprawy starowina. Rosły tam bowiem drzewa mangowe, a soczyste, wonne ich owoce lubił stary łakomic²⁹. Dostawał też zawsze jakiś przysmak osobliwy od królewicza i Amry.

Chłopaki siadały pod zwisającą skałą i wdawały się w pogawędkę. Zwykle zaczynał Amra.

Opowiadał obszernie i szczegółowo o życiu i pracy biednych wieśniaków, posiadających pole mniejsze od najmniejszej sali pałacu Nassura; o rybakach, którzy giną często w siwych, syczących falach oceanu lub zostają pożarci przez żarłoczne rekiny.

Amra snuł opowieści o odważnych niestrudzonych myśliwych, przecinających dżungłę, gdzie błyska zielonymi ślepiami przegowany tygrys lub plamista pantera.

Przy każdym nowym spotkaniu odsłaniał przed oczami przyszłego władcy zwykle, proste i nędzne życie, którego „syn brata słońca” i „najpotężniejszy władca” nigdy nie widział z okien swego pałacu lub z wysokości tronu, gdy zasiadał na nim obok ojca.

Gdy kornak milknął, królewicz Satpury rozpoczął swoje opowiadanie.

Śmiał się i szydził z niemądrych i uciążliwych przepisów i obyczajów panujących na dworze jego ojca, przedrzeźniał różnych dostojników; barwnie i zajmująco przedstawiał niezwykle przepych uczt i przyjęć dworskich i dalekie podróże za morze, do Londynu, gdzie mieszka cesarz Wielkiej Brytanii...

Ze zdumieniem posłyszał Amra, że jego mały przyjaciel pół roku spędza w stolicy białych sahibów, gdzie uczy się, aby, gdy nastanie czas, stać się oświeconym i sprawiedliwym władcą swego kraju i narodu.

Tamując oddech, słuchał wieśniak o tym, czego uczą Nassura biali sahibowie i o tym, co widział w obcych, dalekich krajach syn maharadży.

Pewnego razu, słuchając królewicza, westchnął:

— Zazdrościsz mi? — spytał Nassur, spojrzawszy w rozognione oczy przyjaciela.

— Tak! — odparł z całą szczerością Amra. — Nie myśl jednak, królewiczu, że zazdrozczę ci honorów świetności panującego władcy. O, nie! Chciałbym tylko zdobyć wiedzę!...

Nassur zaśmiał się szyderczo i mruknął pogardliwie:

— Powiem ci, mój drogi, że to jest bardzo nudne zajęcie... Stokroć wolę kopać piłkę lub grać w tenisa, golfa... hokeja!

Amra nie rozumiał tych obcych słów, więc Nassur opowiedział mu o różnych grach sportowych, w których lubują się Anglicy.

Wysłuchawszy spokojnie i cierpliwie królewicza, chłopak powtórzył:

— O, nie! Przede wszystkim chciałbym zdobyć wiedzę!

Innym znów razem spotkanie przyjaciół kończyło się zabawą.

Tu górował Amra. Zręczny, silny zwinny znał dużo sztuczek, które zadziwiały królewicza.

Wieśniak umiał zastawiać sidła na myszy polne, krety i króliki. Zręcznie chwycił na wędkę ryby w potoku i piekł je na małym ognisku. Raczylili się nimi, a ta zwykła strawa rybaków niezmiernie smakowała przyszłemu maharadży.

Najulubieńszą zabawę chłopaków stanowiło polowanie na tarantule, skorpiony i węże.

Amra umiał wykryć wśród kamieni okrągłe otwory prowadzące do podziemnych nor czarnych, kosmatych pajaków — tarantul. Pod popekanymi płytami skalnymi odnajdywał zaczajone skorpiony — do raków podobne, o długich ogonach, zakończonych jadowitym haczykiem.

Nałapawszy sporo tych niebezpiecznych owadów, urządzali bitwę.

²⁹łakomic — dziś raczej: łakomczuch. [przypis edytorski]

Oczyściwszy mały placyk, ogradzali go wetkniętymi w ziemię odłamkami kamieni i wpuszczali do środka zapaśników.

Długo krążyły po malutkiej arenie tarantule i żółte skorpiony, patrząc na siebie podejrzliwie i prostując się groźnie na grubych, mocnych nogach.

Wkrótce rozpoczynały walkę zaciętą i niemiłosierną.

Ani jeden z zapaśników nie zostawał przy życiu.

Pod koniec bitwy walka stawała się ogólna. Oszalałe, rozwścieczone owady biły się na oślep, tworząc jeden zwał drgających, szamocących się ciał.

Szczególniej jednak lubił Nassur polowanie na węże.

Ogromny, niezgrabny Birara z powodzeniem zastępował wyżła.

— Szukaj węża! — mówił do słonia Amra.

Birara opuszczał trąbę i podnosił uszy. Ostrożnie, jak gdyby ze strachem, rozchyłał krzaki i kępy trawy, odrzucał duże kamienie i głośno sapał.

Gdy błyskawicznym ruchem podnosił trąbę, Amra rzucał się naprzód i wołał:

— Jest! Jest!

Długą tyką, zakończoną widelkami, przyciskał węża do ziemi, a po chwili zadzierzał mu pętlę na szyję i z triumfem pokazywał Nassurowi zdobycz.

Królewicz klaskał w dłonie i śmiał się, patrząc na Birarę, chrapiącego ostrzegawczo i trwożnie.

W głosie jego brzmiało upomnienie:

— Bądźcie ostrożne, dzieciaki! Różne bywają węże...

Ostrzeżenia takie nie były wcale zbyt cenne.

Pewnego razu, spotkawszy się w wąwozie, chłopacy postanowili zrobić wycieczkę aż do końca jaru.

Znaleźli tam małe bagienko. Sitowie i duże, jasnozielone liście lilii wodnej okrywały powierzchnię wody i grząskiego torfowiska.

Birara znalazł tam jakieś korzonki i racył się nimi z parsaniem.

Amra, wyciąwszy długą, gładką trzcinę, majstrował z niej fujarkę.

Królewicz błąkał się po brzegu bagniska i przyglądał się barwnym motyłom unoszącym się nad wodą.

Nagle usłyszał cichy świst i jak gdyby klaśnięcie bicia.

Zdumiony rozglądał się dokoła.

Świst powtórzył się już wyraźniej i bliżej.

Nassur spojrział na ziemię. Spoza kępy wysuwał się wąż.

Nigdy takiego jeszcze nie widział.

Żółty i długi płaz miał na karku dwa czarne kółka, połączone ciemnymi pasemkami.

Złe, nieruchome oczy jego wbijały się w chłopaka.

Prężne ciało kurczyło się gwałtownie i sunęło powolnie naprzód.

Gad zatrzymał się, zamarł na chwilę, a potem, sycząc, jął³⁰ unosić płaską głowę i śmigać czarnym, długim językiem.

Kark węża zaczął się rozdymać, przybierał kształty płaszczka, na którym niby okulary czerniały dwie ciemne, połączone ze sobą plamy.

— Amra! — zawołał królewicz. — Biegnij tu: znalazłem zabawnego węża! Schwytamy go...

Chłopak przybiegł natychmiast, trzymając w ręku giętką trzcinę.

Rzucił okiem na płaza i poznał od razu najstraszliwszą z jadowitych żmij — okularnika.

Widział takiego gada, gdy rodzice Amry mieszkali nad błotnistą Narbadą. Okularnik ugryzł wtedy córkę sąsiada, a dziewczynka wkrótce zmarła.

Wtedy to nasłuchiwał się chłopak strasznych opowiadań o tych jadowitych płazach.

— Stój i nie ruszaj się! — szepnął rozkazująco. — Nie ruszaj się, bo zginiesz!...

Okularnik tymczasem rozdał szyję i już się przeżył, gotowy do skoku.

Nie zdążył jednak, bo w powietrzu gwizdnęła trzcina i ugodziła go w sztywny grzbiet.

Okularnik wyciągnął się na trawie; ostatnim wysiłkiem bijąc ogonem o ziemię.

Amra trzcina przycisnął mu głowę i dobił.

Zwierzęta,
Niebezpieczeństwo

Wąż

³⁰jął (daw.) — zaczął; forma 3 os. lp czasownika *jąć*, tj. *zacząć*. [przypis edytorski]

— *Trzynta negu!*... — szepnął drżącym ze wzruszenia głosem. — Żmija śmierci...
— *Trzynta negu!* — powtórzył Nassur. — Czytał nam o niej nauczyciel. Kły jej posiadają śmiertelną truciznę... Amra! Uratowałeś mi życie...

Chłopak milczał, z radością patrząc na przyjaciela.

— Gdy będę maharadzą, uczynię cię dowódcą straży przybocznej!... — zawołał królewicz.

Amra spuścił oczy i odparł cicho:

— Oby Bóg dał najdłuższe życie Tasfinowi, wielkiemu maharadzy!

Nassur zmieszany spojrział na towarzysza.

— Dziękuję ci! — rzekł. — Jesteś dobry i mądry!

Amra nic nie odpowiedział.

Odprowadził przyjaciela do ogrodzenia pałacowego i pożegnał go niskim ukłonem. Tu, w obrębie siedziby maharadzów Satpury, Nassur nie był już dla niego wesołym, miłym towarzyszem zabaw i ciekawych pogadanek.

Stawał się znowu „synem brata słońca”, przyszłym królem całego kraju i narodu.

Widział w tym chłopaku nie tylko swego władcę, lecz również władcę Birary, Warory, matki Sonczy i małych siostrzyчек, do których Amra coraz bardziej tęsknić zaczynał.

Pragnąłby być czym prędzej w trzcinowej chacie rodzicielskiej, słyszeć postukiwanie młoteczka snycerskiego, brzęk żelaznych kociołków, szorowanych przez siostry przy ognisku, tulić się do spracowanych rąk zawsze stroskanej matki...

— Poproszę cię o coś, wielki królewiczu... poproszę, gdy przyjdiesz jutro do wąwozu... — szepnął Amra.

— Przyjźde! — potrząsnął głową Nassur i skinąwszy chłopakowi ręką, zniknął w mroku palm i kwitnących magnolii.

ROZDZIAŁ VIII. TASFIN — MAHARADŻA SATPURY

Królewicz Nassur przyszedł nazajutrz na umówione miejsce wcześniej niż zwykle.

Nie znalazł tam jeszcze Amry, oczekującego go dopiero po południu.

Birara, spostrzegłszy nowego przyjaciela, popędził ku niemu.

Nie widząc chłopca, Nassur spojrział na słońca i rzekł ze smutkiem:

— Nie ma Amry...

Birara podniósł uszy i nadśluchiwał.

— Amra... Amra... Nie ma Amry! — powtórzył chłopak.

Słoń przechylił głowę na bok i poruszał uszami niespokojnie i pytająco.

— Idź i przyprowadź do mnie Amrę!... Dobry Birara, biegnij po Amrę!...

Słoń zrozumiał wreszcie, opuścił natychmiast uszy, zawrócił i podreptał ku wyjściu z „wąwozu królewicza”.

Nassur przyglądał mu się z zaciekawieniem.

Birara coraz szybszym truchtem, śpiesząc się i wymachując ogonem, biegł przez łąkę. Dotarłszy do ogrodzenia pałacowego, jął³¹ potrząsać bramą tak potężnie, że stojący na czatach³² żołnierz, w obawie przed wylamaniem jej, pośpiesznie odsunął rygle.

Słoń, nie spojrzawszy nawet na niego, przebiegł boczny dziedziniec i stanął przed domem służbowym.

Zajrzawszy przez okno, wyciągnął trąbę i zwlókl leżącego na pryczy Amrę.

— Czyś zwariował, mój staruszkę? — zawołał chłopak.

Upomnienia te nie zdały się na nic.

Birara wsadził kornaka na jego zwykłe miejsce i ruszył „z kopyta” ku bramie.

Wkrótce wpadł do wąwozu i postawił zdumionego i uradowanego Amrę przed rozśmianym Nassurem.

— Wyrwałem się dziś wcześniej, gdyż ojciec wyruszył na polowanie z jakimiś gośćmi — objaśnił królewicz.

— Ach, jak to dobrze! — zawołał Amra. — Ale może twoja mama będzie cię szukała, królewiczu?

Nassur spuścił oczy i szepnął:

³¹jąć (daw.) — zacząć coś robić; zabrać się za coś. [przypis edytorski]

³²stojący na czatach — stojący na warcie. [przypis edytorski]

— Moja mama umarła, gdy byłem zupełnie mały. Wychowuje mnie stary, poczciwy Bali, lecz z nim dałem już sobie radę!

Amra zamyślił się. Przyjaciel jego, a i on też zostaną bez śniadania?...

— Królewiczu! — rzekł chłopak, patrząc na Nassura. — Musimy przyrządzić wspólną ucztę!

— Ha, ha! — śmiał się królewicz. — To niełatwa rzecz!

Amra nic nie odpowiedział. Zaczął się krzątać. Z głębokiej kieszeni granatowego szlafroka, który mu wydano w pałacu, wydobyl zwój cienkiego sznurka, wetknięte w korek haczyki na ryby i scyzoryk.

Naścinał kilka pręcików, zręcznie zawiesił na nich ruchome, łatwo zadzierzgające³³ się pętle, a potem wybrawszy giętką trzcinę, przywiązał do niej sznurek z haczykiem.

— Chodźmy! — szepnął do przyjaciela. — Wyszukałem nory królików. Zapolujemy na nie, a potem nalapiemy ryb i poszukamy dojrzałych owoców mango! Będziemy syci, królewiczu!

Otoczywszy sidłami nory królików, gwizdnął na Birarę.

— Tupaj, a z całej siły! — zawołał do słonia kornak.

Birara jął przestępować z nogi na nogę, podskakiwać i tupać, płosząc króliki.

Kilka tych szarych zwierzątek śmignęło w trawie, a dwa z nich trafiły do zastawionych pętel.

Nassur klaskał w dłonie i śmiał się.

Z chwytaniem ryb poszło jeszcze łatwiej.

Wkrótce pod skałą płonęło małe ognisko, przy którym Amra piekł na patyczkach kawałki mięsa i ryby, a Nassur zrywał — różowe owoce mango i z chichotem oganiał się od Birary. Łakomy zwierz mruczał i zapuszczał trąbę do kapelusza królewicza, wyławiając najdojrzalsze owoce.

Chłopaki, ukrywszy się w cieniu, spożywały śniadanie, gdy nagle stojący obok Birara sapnął głośno i podniósł głowę.

Do wąwozu wjeżdżał na pięknym rumaku okazały mężczyzna o długiej, czarnej brodzie i brązowym, dumnym obliczu.

O kilka kroków za nim podążało kilku jeźdźców w barwnych mundurach przybocznej straży króla.

— Ojciec!... — szepnął Nassur. — Uciekaj, Amra.

Chłopak dumnie potrząsnął głową.

— Nie uczyniłem nic złego, więc nie będę uciekał! — odparł.

Tasfin, maharadża Satpury, zbliżał się do ogniska.

Od razu spostrzegł syna.

— Królewicz Nassur?! — zawołał zdumiony.

Chłopak rzucił się do ojca i całując go po rękach, przyznał się do codziennych spotkań swoich z Amrą i jego słoniem, opowiadał o małym kornaku i o tym, jak chłopak uratował mu życie, gdy napadł go jadowity okularnik.

— Surowa kara spotka twego wychowawcę, Bali! — rzekł groźnie Tasfin.

— Przebacz mu, ojcze! — błagał Nassur. — Jemu zawdzięczam, że poznałem dobrego, szlachetnego przyjaciela, jakim jest Amra, syn wieśniaka z Suratu.

To mówiąc, wskazał ręką na Amrę, który nisko skłonił się przed władcą.

— Obroniłeś mego syna, chłopcze? — spytał maharadża.

— Obroniłem i obronię w każdej przygodzie, bo polubiłem królewicza Nassura i mój słon Birara także polubił go! — odpowiedział cichym głosem chłopak.

— Nassur jest królewiczem, przyszłym maharadżą — rzekł Tasfin.

— Jest on moim przyjacielem, od którego nic nie żądam, a wdzięczny mu jestem za dobre serce jego dla mnie i dla Birary — szepnął Amra.

— Mówisz, co prawda, nie tak, jak powinni to czynić poddani, lecz mądrość brzmi w słowach twoich, dziecko! — w zamyśleniu wyrzekł maharadża. — Przyjaźń jest droższa i pewniejsza od zmiennej łaski władcy...

Nie skończył, bo przerwał mu Birara.

Podszedł i trąbą dotknął ramienia Tasfina.

³³zadzierzgać — zawiązywać. [przypis edytorski]

Dla niego nie był on ani władcą, ani „bratem słońca”, ani maharadzą Satpury.

Podobał mu się głos tego człowieka i łagodne błyski w jego oczach.

Chuchnął więc na niego dobrotliwie i mruknął cichutko.

Maharadża zeskoczył z konia i skinąwszy ręką w stronę świąty, kazał jeźdźcom powracać do pałacu.

Sam zaś usiadł przy gasnącym ognisku i jął wypytywać chłopców o ich zabawy i rozmowy, śmiał się wesoło i zjadał owoce mango.

Birara tkwił przed nimi, kiwał głową, a w oczach jego zapalały się co chwila żartobliwe, figlarne ogniki.

Wielki władca, wspaniały maharadża przyglądał się chwytaniu ryb przez małego wieśniaka i raczył spożyć jedną z nich, upieczoną na węglach i polaną sokiem mangowym.

Tasfin był człowiekiem mądrym i wnikliwym.

W mig zrozumiał, że Amra ma w sobie dużo szlachetności, odwagi i stanowczości.

Już wiedział, że ten mały Hindus od dawna pracuje ciężko i utrzymuje całą rodzinę, chociaż drobnym jest jeszcze i słabym chłopakiem.

Posłyszawszy od syna, że przyjaciel jego marzy o nauce, zamyślił się.

„Prawdziwy władca powinien znać, rozumieć i lubić swój naród — mignęła mu myśl. — Ten chłopak z pospólstwa, być może, stanie się z czasem najlepszym i najbardziej oddanym doradcą Nassura... Niech więc pozostanie przy nim...”

To postanowienie maharadży Satpury zmieniło całe życie Amry, syna kaleki Warory.

Na inną też drogę skierowało ono losy sędziwego Birary.

Mały jego kornak nic jeszcze nie przeczuwał, lecz słoń pochwyił niewypowiedzianą myśl władcy, zaczął tupać, podrygiwać, wreszcie, podniósłszy trąbę, wydał donośny ryk.

Na prośbę Nassura wsiedli wszyscy na słonia.

Birara podniósł najpierw Tasfina, potem królewicza, na ostatku zaś — kornaka.

Chłopak, usadowiwszy się na jego karku, rzekł:

— Ruszaj, a prowadź konia władcy!

Birara złapał rumaka za uzdę i podreptał przez łąkę, wywijając ogonem i chrząkając wesoło.

Salutujący żołnierze i pochyleni w dworskich ukłonach dostojnicy w zdumieniu przyglądali się słoniowi, niosącemu na swym grzbiecie najwyższą władzę Satpury — „brata słońca” i „syna brata słońca”.

Nie rozumieli, co się dzieje, i nigdy nie zrozumieli.

Tasfin bowiem nikomu nie wypowiedział myśli, która się zrodziła w jego głowie, gdy spożywał pieczoną rybę w „wąwozie królewicza”.

— Słuchajcie, dzieci! — szepnął do chłopaków, gdy stanęli przed wejściem do pałacu.

— Nazwijmy wasz wąwóz — „wąwozem przyjaźni”.

— Dobrze, bardzo dobrze! — ucieszył się Nassur.

— A ty, mały, cóż powiesz na to? — spytał maharadża.

— Taką nazwę możesz dać tylko ty, wielki królu... — odparł cicho Amra i dodał jeszcze ciszej: — Radością i wdzięcznością nappełniłeś serce moje!

Maharadża zdumiał się.

Tak mądrej i dostojnej odpowiedzi nie dałby najbardziej sprytny i rozumny dworak.

„Ten chłopak zajdzie wysoko!...” — pomyślał Tasfin i oparłszy się o trąbę Birary, zeskoczył na ziemię.

ROZDZIAŁ IX. ROZŁĄKA

Kulawy Warora był zaniepokojony nieoczekiwaną wizytą. Do trzcinowej chatki jego, stojącej nad brzegiem Tapti, zawitał niezwykle gość.

Był to — listonosz, jednooki Hindus Daltra.

Warora wiedział o nim tyle tylko, że człowiek ten roznosił listy po domach białych sahibów.

Po co zawitał do niego Daltra? Do Warory nigdy nikt nie pisał, zresztą kulawy snycerz nie umiał czytać.

Tymczasem listonosz bardzo uniżenie kłaniał mu się i mruczał:

— Duży, piękny list przyniosłem ci, czcigodny Warora... List z pałacu naszego maharadży! Widzisz tę czerwoną pieczęć? To... pieczęć królewska!

Snycerz struchlał i nadrabiając miną, odparł na pozór obojętnie:

— Hej, to chyba pomyłka! Skądże by znowu pisał do mnie sam maharadża?!

Daltra przekonał go jednak, że list, pisany jest do niego — Warory, syna Bauli, i zaproponował mu uprzejmie odczytanie dostarczonego pisma.

Wszystko się wkrótce wyjaśniło.

Kancelaria władcy zawiadomiła Warorę, że maharadża postanowił zaopiekować się losem jego syna — Amry i nabyć należącego do rodziny słonia Birarę.

Gdy listonosz wymienił tak wielką sumę rupii, że snycerz nie mógł nawet ogarnąć jej swym rozumem, wystraszona Soncza szepnęła:

— Czy moglibyśmy za te pieniądze zbudować nową chatę i kupić krowę?

Daltra parsknął śmiechem i zawołał:

— Zbudujecie sobie piękny dom murowany, kupicie duże pole, ogród i bodaj pięć krów! Ale nie przerywajcie mi, bo nie skończyłem jeszcze czytania.

Wieśniacy dowiedzieli się, że Amra miał szczęście podobać się królewiczowi, z którym razem wyjedzie wkrótce na naukę do Londynu, lecz, zanim opuści kraj, odwiedzi jeszcze przedtem rodziców.

Posłyszawszy o tym, Soncza zapłakała, a małe Hubli i Radźori skakać zaczęły z radości i wołać:

— Amra przyjedzie! Amra przywiezie nam pudełko karmelków...

Listonosz, włożywszy list do koperty, podał go Warorze i kłaniając mu się, rzekł poważnym głosem:

— Syn wasz wygrał wielki los na loterii! O! Widzę, że ten chłopak w czepku się urodził!

Od wizyty jednookiego Daltry minął tydzień.

Pewnego dnia przed zachodem słońca, gdy Soncza z dziewczynkami myły statki³⁴ i prały bieliznę na brzegu rzeki, Warora posłyszał wesoly okrzyk:

— Hej, tam! Czy jest kto w domu?

Snycerz z trudem podniósł się i opierając się na szczydłach, wyszedł przed chatę.

Poznał najpierw Birarę.

Nie mógłby go nie poznać, bo takie olbrzymy zniknęły już prawie zupełnie ze świata.

Zdumiał się jednak.

Słoń miał na sobie drogą, z czerwonej skóry uprząż, ozdobioną mosiężnymi kłami, i szkarłatny czapak na szerokim łbie.

Zachowywał przy tym bardzo poważną i niezwykle uroczystą minę, chociaż nie mógł się powstrzymać od wymachiwania ogonem.

Poznał bowiem Warorę i starą zagrodę. Był z tego niezmiernie ucieszony.

Za to kornaka nie od razu poznał snycerz.

Musiał aż oczy dłonią przysłonić i przyglądać się długo i uważnie.

„Amra czy nie?” — jak błyskawice miotaly się pytania w głowie dawnego wojaka.

Widział przed sobą jak gdyby obcego chłopca, który przypominał mu syna.

Amra chodził dawniej prawie nagi.

Wąska, czarna przepaska na biodrach zastępowała mu całe ubranie.

Siedzący zaś na słoniu chłopak, jak się wydało Warorze, miał na sobie wspaniałe ubranie — wąskie, długie, z niebieskiego płótna spodenki, takąż koszulę, przepasaną czerwoną szarfą, a na głowie — jedwabną czapkę ze złotym galonikiem.

Poza tym syn Warory wyjeżdżał i powracał do domu bez bagaży.

Teraz z terlicy nałożonej na grzbiet Birary, zwisało kilka wypchanych worków.

Warora nie wiedział, co myśleć, więc stał i milczał, zapatrzony w małego jeźdźcę.

— Cóż to? — zapytał chłopak. — Nie poznałeś mnie, ojczu?

Po chwili zeskoczył na ziemię i objął Warorę za szyję, tuląc się do niego.

— To ja: wasz Amra!... — szepnął. — Gdzież są mama i siostrzyczki?

Dowiedziawszy się, że powrócą niebawem, zdjął worki z siodła, zwolnił Birarę ze wszystkich jego wspaniałych ozdób i szepnął do niego:

³⁴statki (daw.) — brudne naczynia pozostałe po zjedzeniu posiłku. [przypis edytorski]

— Poczekaj trochę, stary! Za chwilę pójdziemy do kąpielni.
Birara mruknął coś niewyraźnego w odpowiedzi.
Chciał zapewne powiedzieć:
— Jak za chwilę, to za chwilę. Niech i tak będzie!
Po powrocie kobiet nie było końca okrzykom to radości, to płaczu, podziwu i zachwytu.
Wspaniałe upominki podobały się niezmiernie, bo też były bardzo piękne.
O wszystkim pamiętał Amra, kochający rodzinę.
Wiedział, co kto lubi, o czym marzy i czego mu brakuje.
Po kąpielni odprowadził Birarę do zagrody słoni, kazawszy przynieść dla przyjaciela świeżej trawy, młodych bambusów i koszyk bananów.
Przy wieczerzy, która niezwykle smakowała chłopakowi, Amra opowiedział rodzicom o wszystkim, co zaszło od chwili odjazdu jego z białym sahibem na łowy.
Oznajmił rodzicom, że maharadża kazał wypłacać Warorze miesięczną zapomogę do czasu, aż Amra będzie mógł znowu pracą swoją wyżywić rodzinę.
— Będziesz znów kornakiem? — spytała mała Hubli.
— Nie, siostrzyczko, nie będę już poganiaczem słoni! — zaśmiał się Amra. — Nie wiem jeszcze, czym będę: może adwokatem... lekarzem lub inżynierem... lecz kornakiem nigdy już nie będę... Szkoda byłoby nauki dla takiej roboty!
Nie tylko dziewczynka, lecz nawet rodzice nie zrozumieli tych słów chłopaka.
Ciemni, nieuczeni prostacy nie wiedzieli, jaką potęgę i bogactwo przynosi wiedza.
Kiwali tylko głowami i wzdychali.
Tajemnicze, niezrozumiałe słowa syna i brata przerażały ich.
Amra spędził trzy dni w rodzicielskim domu.
Żegnany łzami i błogosławieństwem odjechał na długo.
W sercach rodziców zagnieździła się trująca trwoga.
— Czy powróci do nas Amra? — westchnęła z goryczą zapłakana Soncza.
— O, Amra powróci pięknie ubrany i potężny, jak biały sahib! — zawołała z głębokim przekonaniem w głosie czupurna, śmiała Radżori.
Matka przytuliła ją do piersi i westchnęła z ulgą.
Słowa córki przyniosły ulgę stroskanemu sercu biednej Sonczy.
Warora głowę podniósł wyżej i spojrzął na żonę wesołym, śmiałym wzrokiem.
— Być może... — szepnął. — Czekajmy cierpliwie!
Od tego czasu często rozmawiali o chłopaku, który urodził się w czepku.
Pytali siebie:
— Gdzie jest teraz Amra? Co robi? Czy myśli o nas?
Na to ostatnie pytanie z całą stanowczością odpowiadała Radżori:
— Amra myśli o nas i nigdy nie zapomni!
Inne pytania pozostały bez odpowiedzi.
Prostacy nie mogliby nawet w marzeniach swoich snuć przypuszczeń o losie chłopaka.
O niczym nie wiedzieli i nie mieli pojęcia o szerokim świecie, który zdobyć dla siebie postanowił mały Amra.
Przecież dla Warory i Sonczy nic poza Suratem nie istniało.
Zdawało im się, że cały świat kończy się na tamtym brzegu Tapti lub może trochę dalej — nad Narbadą, gdzie się urodzili oboje i skąd stary Bauli przywiózł ich na wybrzeże morskie.
Tymczasem Amra z królewiczem spędzali ostatnie dni w ogrodzie pałacowym i na łące w towarzystwie starego Birary.
Maharadża rozkazał Balemu przygotować powóz, aby odstawić chłopaków do kolei.
Wkrótce nadszedł dzień odjazdu.
Mali przyjaciele odwiedzili po raz ostatni Birarę.
Częstowali go bananami, solą i cukrem, bo te przysmaki najbardziej lubił stary słoi.
Mądre zwierzę przeczuwało coś niedobrego.
Birara zaglądał co chwila w oczy przyjaciół i chodził za nimi jak cień, wzdychając ciężko i pomrukując trwoźnie i chrapliwie.
Tego dnia porzucił nawet zwykłe łakomstwo i łykał przysmaki, jak gdyby tylko przez grzeczność.

Gdy chłopaki zaczęły go żegnać na dobre, klepiąc go po bokach i nogach, a potem całując wyciągniętą do nich trąbę, Birara nie chciał ich puścić od siebie, obejmował, tulił do piersi, podnosił i chuchał gorącym oddechem.

Amra spostrzegł nawet łzy w małych, smutnych oczach słonia.

Birara odprowadził ich aż do bramy pałacu, a gdy się zamknęła za chłopakami, podniósł trąbę nad głową, wyciągnął szyję i długo ryczał żałośnie, cienko i jękliwie.

Plakał widocznie i rozpaczał...

ROZDZIAŁ X. OSIEROCONY

Po odjeździe Amry i królewicza dziwne rzeczy zaczęły się dziać z Birarą.

Przestał jeść i nie zapuszczał się już do zarośli bambusów po ich świeże pędy.

Zapominał nawet o kąpieli.

Tkwiał na łące jak szara, bezkształtna skała.

Z opuszczoną smutnie trąbą i ogonem, z nieruchomymi uszami stał, drżąc cały, i ciężko, chrapliwie wzdychał.

Stał się zły i nietowarzyski.

Zobaczywszy przechodzącego poza parkanem żołnierza, popędził za nim i zamierzał uderzyć go trąbą.

Birara napadł wypuszczone na pastwisko słonie sąsiedniego radży i pokaleczył je.

Przez kilka dni miał jeszcze nadzieję, że ujrzy przyjaciół.

Podchodził do sztachet pałacowego ogrodu i trąbił ponuro i błagalnie, jak gdyby pytał:

— Kiedy powrócicie? Gdzie jesteście? Czemuż opuściliście mnie starego? Tęskno mi za wami!... Przychodźcie! Przychodźcie!

Nie wiedział strapiony biedak, że ci, których wołał, płynęli już na pokładzie pięknego statku i z dniem każdym oddalali się coraz bardziej.

Birara zrozumiał wreszcie, że przyjaciele zniknęli nagle.

„Gdzie są? Gdzie?” — mknęły myśli w stroskanej, mądrej głowie zwierzęcia.

Nie widziano go przez kilka dni.

Oddalił się do wąwozu, gdzie był z chłopakami codziennie.

Stawał przed skałą okoponą dymem ich ogniska, patrzył smutnie przed siebie i wzdychał.

Nie nęciły go już złociste mango i słodkie korzonki na bagnisku.

Wzdrygał się chwilami i nadstawiał uszu.

Hamował oddech, czekając, że ujrzy tych drogich, kochanych chłopaków, a potem smutnie zwieszał głowę, bo rozumiał, że to króliki potrącały kamienie, a węże, gnieźdzące się wśród potrzaskanych skał, szeleszczą suchymi liśćmi.

Stał godzinami całymi, nieruchomy, niby z szarego kamienia wykuty.

Nadzieja gasła w jego wiernym sercu, lecz nic nie koilo jego bólu i tęsknoty.

Schudł straszliwie. Bolały go nogi, bo nie kładł się nigdy.

Spał krótko i trwoźnie.

Wartownicy, stojący przy bramie, widzieli go o północy, gdy chodził bez celu po łące i jęczał.

Przez dwa dni nie pokazywał się wcale.

Strażnicy myśleli, że ukrył się w wąwozie, gdzie spędzał największą część dnia.

Gdy jednak i na trzeci dzień nie wyszedł na łąkę, posłano żołnierza na zwiady.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie, lecz niezbędne.

Przecież królewicz, żegnając swoich poddanych, powiedział:

— A patrzcie, żeby nic złego nie przydarzyło się memu słoniowi!

Żołnierz z wielką ostrożnością dotarł do wąwozu i zajrzał do niego.

Birary tam nie było.

Nie widziały go też patrole rozstawione na granicy dżungli górskiej.

Birara zniknął bez śladu.

Nikt nie mógł zrozumieć, jak mogło się wymknąć niespostrzeżenie takie duże zwierzę.

Zapomnieli dozorczy pałacowi o tym, że Birara pamiętał swe życie na wolności, gdy przecinał góry dzikiego Assamu i żerował w jego dżungli.

Wybrał on najciemniejszą noc i skradł się do rzeki.

Zanurzywszy się w niej bez plusku, płynął długo, zanim wyszedł na brzeg.
Wnet zrozumiał, że ominął był³⁵ miasto i obchodzi wioski, które nieraz odwiedzał z Amrą i Nassurem.

Długo stał, węszył i rozmyślał.

Wreszcie zmiarkował³⁶, co należy czynić, i skierował się ku zachodowi.

Szedł przez całą noc, a przed świtem zaszył się w gąszcz i starając się nie czynić hałasu, podjadł sobie i zdrzemnął się.

Czuł się teraz spokojniejszy, a nadzieja zaświtała mu znowu. Znajdzie te kochane istoty, posłyszycie ich śmiech wesóły, ujrzycie ich roziskrzone oczęta!

Następnego dnia szedł przez dżungłę.

Żeby dojść prędzej, wychodził nawet na drogę.

Unikał tylko spotkania z ludźmi. Mogli go przecież poznać i wysledzić.

Krył się sprytnie, skradał się bez hałasu i szedł wciąż ku zachodowi.

Dopiero na piąty dzień dotarł do brzegu Tapti i ruszył naprzód kłusem, biegnąc gościńcem.

Przed południem stanął przed chatą Warory.

Cała rodzina z okrzykiem radości otoczyła swego ulubieńca.

Birara witał każdego z osobna, obejmując trąbą i dmąc w twarz.

Poruszał jednak uszami niespokojnie i węszył gwałtownie.

Obiegł całą zagrodę, zajął na pastwisko nadbrzeżne i dopiero wtedy zrozumiał, że próżno szukał tu Amry.

Rozkraczywszy grube nogi i zadarłszy głowę, trąbił długo, a coraz przeraźliwiej.

Rozpacz, lzy, ból i skarga brzmiały w ryku rozdzierającym pierś olbrzymia.

Zdawało się, że nigdy nie ustanie to okropne, przeraźliwe trąbienie.

Birara urwał je nagle i trzęsąc głową, wybiegł z zagrody.

Nie miał już nadziei, lecz czepiał się jeszcze wszystkiego, coby mogło ją podtrzymać jak najdłużej.

Czuł, że bez nadziei żyć już nie potrafi.

Szedł więc przez las, rozglądając się i węsząc.

Owiedził miejsce porzuconych już poręb.

Zbocza gór miały smutny, żaloszny wygląd pobojowiska.

Z wybujałej trawy sterczały martwe pnie z odpadającą korą; zwaliska suchych gałęzi, zasnutych siecią pajęczyn, doły i wykroty, pozostałe po wykarczowanych korzeniach, jakieś chwasty i badyle, wyrastające zawsze w miejscach dłuższego pobytu człowieka, pogłębiły smutek i trwogę słonia.

Krażył długo po tym cmentarzysku, coraz niżej opuszczając głowę i dysząc ciężko.

Obszedł cały las wytrzebiony, zajął wszędzie.

Stał długo nad urwistym spychem, jak gdyby przypominając sobie pierwszy dzień wspólnej pracy z małym, kochanym kornakiem.

Odnalazł miejsce, gdzie stał jego szałas.

Węszył tu długo, nogą rozgrzebywał suche liście i stos zbutwiałych już sęków.

Niczego nie pochwycił jednak ostrego węża słonia.

Ulewy, wiatry i skwarne słońce zmyły, wyżarły, wypaliły wszelkie ślady.

Birara wzdychał raz po raz i w bezradnej trosce oglądał się wokół.

Zaczął trąbić, nawołując przyjaciela, lecz urywał wkrótce.

Zrozumiał biedak, że nikt już nie odpowie na jego zew gorący, przepojony tęsknotą i niepokojem.

Zbiegł na brzeg morza i szedł drogą aż do tartaku; pamiętał ją, bo przecież tyle razy przemierzał ją od początku do końca.

Tartak stał nieczynny, zamknięty.

Nie turkotał już, wyrzucając parę, motor, nie syczały i nie zgrzytały rozpetane, ostre piły...

Birara zatrzymał się tu dłużej.

Las, Ruiny, Cmentarz,
Drzewo

³⁵ominął był — daw. czas zaprzeczony, stosowany dla wyrażenia czynności wcześniejszych od tych, które wrażono czasem przeszłym prostym; znaczenie: ominął wcześniej. [przypis edytorski]

³⁶zmiarkować — domyślić się, zrozumieć. [przypis edytorski]

Stał pod płotem nieruchomy, niby żebrak bezdomny, opuszczony.
Zbierał rozproszone, zatrute tęsknotą i żalem myśli. Coś układał w głowie, lecz nie czuł już radości czynu. Nie wierzył w potrzebę jego i w osiągnięcie pragnienia.
Ruszył dalej i nieśmiałym krokiem zbliżył się ponownie do zagrody Warory.
Nie zastał tu nikogo.
Cała rodzina była nad rzeką, gdzie stawiano nowy dom na wysokim podmurowaniu.
Słoń opuścił głowę tak nisko, że trąbą dotknął białego kurzu okrywającego drogę.
Uczuł się teraz zupełnie samotnym, nikomu niepotrzebnym, starym łachmanem rzuconym na poniewierkę.
Stał jeszcze długo; bolały go nogi; szumiało w głowie i nieznośnie szybko biło serce.
Wreszcie sapnął głośno i powłókł się dalej.
Wszedł do lasu, odnalazł gęste zarośla i położył się, nieczuły na ugryzienia bąków i opadających go kleszczy.
Tak spędził noc, a gdy się obudził, nikt by nie poznał starego Birary.
Schudł nagle straszliwie, uszy miał podniesione gniewnie, a w oczach — tych małych, wesołych i łagodnych oczach — błyskała wściekłość.
Posłyszał turkot w pobliżu.
Dwa bawoły ciągnęły gościńcem ciężki wóz z kamieniami i żwirem do naprawy drogi.
Birara wypadł z lasu z głośnym trąbieniem, przewrócił wóz, obalił przerażone bawoły i pogonił za człowiekiem.
Nie ścigał go długo, bo przyszło nagle postanowienie.
Zawrócił z miejsca i pobiegł na wschód.
Trzymał się kierunku gościńca, lecz sunął przez las.
Gdy słyszał głosy ludzi, zaczajał się, przepuszczał ich i szedł dalej.
Dążył tam, gdzie z niezwykłą siłą odżyły w nim niegdyś wspomnienia i zew wolności.
Pamiętał dobrze wioskę górską, wąwozy południowej Satpury i dżunglę, gdzie dopomagał ludziom w chwytaniu dzikich słoń.
Tak — pomagał! Teraz już wiedział, na jaką mękę skazał swych nieszczęśliwych braci, rozumiał, dlaczego tak długo potem nie mógł odzyskać wesołości i spokoju.
Nie straszyla go już teraz długa tresura i ciężka praca, której miały podlec dzikie słonie, lecz tęsknota, nieukojonny żal i gryzący ból w sercu — była to okrutna męka!
W jej to nielitościwe, drapieżne szpony oddał Birara — oswojone, miłujące kornaka zwierzę, swoich braci bezradnych, bezbronnych wobec przebiegłości i obojętności człowieka.
Słoń dobrnął do wioski i korytem niegłębokiej, górskiej rzeki, ominął ją niespostrzeżenie.
Wszedł do dżungli i przystanął, aby odpocząć po ciężkiej drodze.
Oddech Birary stał się świszczący. Wychudłe boki zapadały się i podnosiły z wysiłkiem.
Słoń wydawał chwilami głuche jęki.
Nie mógł jeść. Czuł nieznośny żar w paszczy. Wysychał i sztywniał język.
Odnalazł potok, pił długo i chciwie.
Ukrył się w chaszczach i tam się położył.
Czuł wielką, przeraźliwą słabość w całym ciele.
Nie myślał już o niczym, niczego nie pragnął, nie radował się i nie smucił.
Jakaś obojętność ogarnęła go, przytłoczyła do ziemi myśli jego i tęsknotę.
Leżał jak nieżywy, nie oddychał prawie.
Nic już nie słyszał i nie widział.
Tygrysica, wyszedłszy na łowy nocne, przemknęła w pobliżu słoń.
Zwęszyła go i przystanąła.
Zielone, płonące ślepie zwierza przebiły zwikłany, skłębiony gąszcz traw i krzaków i dojrzały leżącego olbrzymia.
Drapieżnik przywarł pręgowanym ciałem do ziemi. Już prężyć się jęły i drgać podchylone do skoku łapy, lecz ostry słuch przyłapał jak gdyby ciche westchnienie.
Tygrysica zrozumiała, że słoń żyje.
Widziała jego olbrzymie, potężne ciało i grubą trąbę, wyciągniętą bezsilnie na ziemi.
Nie śmiała jednak porwać się na tego moczara, więc bez szmeru odczołgała się dalej i śmignęła w gąszczu trawy czarnymi pręgami i rdzą futra.

Birara wydał cichy chrap.
Spał...

ROZDZIAŁ XI. SAMOTNIK

Birara spał niezwykle długo, a tak mocno, że nie czuł nawet dotyku siadających mu na łeb szarych drozdów i zielonych jaszczurek biegających po nogach.

Słońce stało już wysoko, gdy otworzył oczy i poruszył się.

Czuł się znacznie silniejszy.

Podniósł się, otrząsnął i pełną piersią wciągając powietrze, sapnął.

Ból w nogach ustał i minęła gorączka.

Zaczął nawet ogryzać cienkie gałązki krzaków, a jeden z nich wyrwał z ziemi, aby posilić się soczystymi korzeniami.

Chrząknął z zadowoleniem i ulgą.

Stanowczo — siły i zdrowie powracały mu szybko.

Co prawda, gdzieś głęboko, może na dnie serca, odzywał się chwilami dokuczliwy, tępy ból.

Wiedział, że to tęsknota i nieukojonny żal toczą go jak złośliwe robaki.

Całym wysiłkiem woli wtłaczał je coraz głębiej do wnętrza, starając się nie myśleć o tym, co go gnębiło od dawna.

Rozglądał się dokoła ze zdumieniem. Zdawało mu się, że po raz pierwszy widzi dżunglę, roziskrzone niebo i złote plamy słońca na trawie i pniach drzew.

Nastąpiło w nim jakieś tajemnicze odrodzenie.

Poczucie wolności przepajało go i napępiało zachwytem.

Wiedział już, że nie ma teraz nikogo na świecie, o kim potrzebowałby myśleć i troszczyć się nieustannie.

Amra — mały kornak porzucił go, jak niepotrzebny, zdarty łachman!

Ten inny chłopak — roześmiany i łagodny, towarzysz jego przyjaciela, przesunął się przez życie Birary jak nieznane, cudowne zjawisko i zniknął.

Może istniał naprawdę, a może go tylko wyśnił Birara?

Amra jednak był, był! Czuje na sobie dotychczas pieszczotę jego ciepłych dłoni, słyszy jego cichy głos:

— Co ci jest, staruszkule?

Słoń chrapał coraz głośniejsze i borykał się sam ze sobą, aby już więcej o niczym nie wspominać.

Udało mu się. Poweselał trochę i ochłonął ze wzruszenia.

Wszedł do potoku, zlał sobie wodą grzbiet i napił się.

Bez namysłu na pozór jął się przedzierać przez dżunglę.

Nie chciał uświadamiać sobie, że w mózgu tkwi mu uporczywa myśl.

„Iść na moczary, gdzie schwymano dzikie słonie... Może... Amra...”

Wzdrygnął się, potrząsnął głową i parł przez chaszczki.

Odnalazł znane mu miejsce.

Obszedł całą okolicę. Tu spędził pamiętną noc przed łowami — spod suchych liści połyskują jeszcze zardzewiałe blaszanki; dalej ciągną się płoty kheddy i szumią koronami drzewa, do których ludzie uwiązali jeńców...

Birara chodził, węszył, trząsał głową i głośno parsknął.

Przekonał się wkrótce, że od dawna nikt tu nie zaglądał.

Był tak zagłębiany w myślach, że nie słyszał nawet cienkiego trąbienia, biegnącego od strony bagnistej dżungli.

Pochwycił je jednak w końcu i podniósł uszy.

Jakaś potężna żądza ujrzenia braci porwała go.

Podniósł trąbę i odpowiedział urwanym, głuchym porykiem.

Z głębi moczarów dobiegł go ryk dzikiego słonia. Brzmiał w nim zew i pytanie.

Brara zrozumiał to i ruszył naprzód.

Szedł teraz zupełnie inaczej.

Skradał się tak cicho, że ani jedna sucha gałąź trzaskiem swoim nie zdradziła jego ruchów, nie zaszeleściły nawet rozsuwane gałęzie krzaków.

Ze strachem myślał, że słonie mogłyby posłyszeć tupot jego nóg i rzucić się do ucieczki.

On zaś tak bardzo pragnął spotkać te bratnie istoty. Miał dla nich rzewność i miłość w sercu.

Wolny był i z wolnymi mieszkańcami dżungli chciał żyć i umierać.

Podszedł do obszernej bagnistej łąki tak cicho, że słonie ujrzały go wtedy dopiero, gdy wynurzył się z gąszczy i w całej okazałości stanął na skraju lasu.

Ogromny, rozradowany i szczęśliwy poruszał uszami, wyciągał trąbę i mruczał dobrodusznie.

Witał braci. Głosem i ruchami wyrażał myśl zaprzętą jego głowę:

„Bywajcie mi! Oto zrzuciłem z siebie więzy przywiązania do człowieka, najcięższe więzy — i jestem wolny! Chcę żyć z wami w przyjaźni aż do końca moich dni! Znam wybiegi i chytrą ludzką, więc ostrzegę was i obronię...”

Dwa najstarsze słonie natychmiast oddzieliły się od stada.

Zbliżały się nieufnie, z pogrózką, ukrytą w ruchu podniesionych trąb i szybko wachlujących uszu.

Sapały groźnie, z chrapaniem i świstem wciągały powietrze.

Stały wreszcie przed olbrzymim przybyszem.

Birara chuchnął na braci gorącym oddechem i pojednawczo machnął ogonem.

Nie wyciągał ku nim trąby, aby nie wyrażać zbytnej uniżoności, a jeszcze bardziej dlatego, żeby nie spłoszyć bojaźliwych, nieufnych dzikusów.

Słonie tymczasem obwąchiwały nieznanego gościa i uważnie go oglądały.

W mig zrozumiały, że jest już stary, lecz jeszcze bardzo silny, i że niedawno jadł korzenie areki.

Pochwyliły zapach mułu i wonnej trawy, zgniecionej podczas snu. Zwęszyły nawet, że ptaki chodziły po jego chudych bokach.

Nie wzbudzało to w nich podejrzeń i obaw.

Coś niezwykle dojrzały jednak w przybyszu.

Jęły więc oglądać go z bliska, pochylając szerokie łby.

I nagle — spostrzegły coś wręcz strasznego, krzyczącego o bliskim niebezpieczeństwie.

Słonie odczuły to tak wyraźnie, że zdawało im się, iż czai się ono tuż-tuż, w zaroślach krzaków, za ścianą wysokich, szeleszczących trzciny.

Przybysz miał na kolanach odciski, pomarszczone zgrubienia skóry — pozostałość po pracowitym życiu, gdy popychał ciężkie kłocę drzewa i ciosane kamienie; na szyi i bokach — wklęsnięcia, szerokie i głębokie, wyciśnięte przez popręg i łańcuchy orczyka.

Wtedy, parsknąwszy głośno, zaczęły węszyć ponownie.

Nie miały już wątpliwości — ostrym węchem wyczuły bowiem zniechęcony, tchnący zgrozą zapach człowieka.

Cofnęły się w przerażeniu i gniewie zarazem. Nadstawiły ostre kły i podwinęły trąby.

Jeden z dzikusów wydał krótki ryk.

Na ten sygnał nadbiegło całe stado; trzydzieści słoni stanęło w groźnej postawie na wprost przybysza.

Postępując krok po kroku, słonie zbliżały się do Birary, otoczyły go, ścisnęły prężną obręczą swych ciał i jęły popychać ku zaroślom, skąd niedawno wynurzył się na moczary.

Birara opierał się, mruczał łagodnie i chuchał na prawo i lewo, lecz stado spychało go coraz dalej, aż otoczyły go wysokie krzaki.

Wtedy odeszły dzikie słonie, a Birara, który dążył ku nim, jak do braci i przyjaciół, stał w chaszczach nieruchomy, gorzko zdumiony i niewymownie smutny.

Olbrzym, podniósłszy głowę, ujrzał odchodzące stado.

Powracało na miejsce żerowania z gniewnym pomrukiem.

Dwa najstarsze samce przystawały co chwila i oglądały się podejrzliwie.

Potrząsały zwiniętymi trąbami, jak gdyby wygrażając intruzowi.

Birara zrozumiał, że wolni bracia odtrącili go — jako byłego niewolnika.

Nie uznali go za podobnego i bliskiego sobie, bo był im niepotrzebny, a może nawet wstrętny.

Teraz to już naprawdę był zupełnie sam na świecie...

Zasmucony, przybity do ziemi słoń jęknął.

Rozpacz schwyciła go za serce; poczucie niesprawiedliwości i doznanej krzywdy przeszło w wybuch wściekłości.

Wypadł z krzaków i runął na nieoczekujące napaści stado.

Splószone strasznym łomotem, trzaskiem tratowanych krzaków i trzcin słonie rzuciły się do ucieczki.

Birara gonił je, trąbiąc przeraźliwie, wyrywając i łamiąc zawadzające mu drzewa.

Kilka samców zatrzymało się wreszcie i zwróciło kły ku napastnikowi.

Lecz rozwścieczony olbrzym, jak tocząca się z gór skała, przełamał ich zbity, głową przy głowie szereg, obalił dwa słonie i jał tratować je, rycząc i chrapiąc. Inne — ogarnięte strachem — uciekały, doganiając resztę stada.

Birara uspokoił się dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że napadnięci przez niego bracia już nie żyją.

Obwąchał je, obmacał, kilka razy potracił kolanami ich bezwładne ciała i wyprężwszy mięśnie trąby, ryczeć począł.

W głosie zwycięzcy nie było jednak triumfu.

Rozpaczą bezdenną i bólem palącym rozbrzmiewało po dżungli przeciągłe, drgające, jęklive trąbienie...

ROZDZIAŁ XII. SPOTKANIE Z CZŁOWIEKIEM

— Coby to mogło być? — spytał siebie na głos, stając jak wryty i podnosząc głowę stary panikis³⁷ — Guarra, z przyzwyczajenia tropiciela wałęsający się po dżungli.

Nikt mu nie odpowiedział, bo Guarra samotnie kluczył po kniei, chociaż czas łowów nie nastął jeszcze.

Tropiciel znał dżunglę na sto mil wzdłuż i wszerz, więc wiedział, że ani jeden z tych drobnych, najgorszych słoni, które się pasły na moczarach, nie był w stanie wydobyć z piersi tak potężnego trąbienia.

Nie namyślając się długo, wślizgnął się do gąszczu i nadsluchując co chwila, skradał się, biegł, czołgał się, wbiwszy w ziemię swoje spostrzegawcze źrenice.

Szedł długo, nie odnajdując żadnych śladów. A tymczasem słyszał chwilami — bliżej lub dalej — ten sam przeciągły, jęklivy, ponuro natarczywy ryk.

Guarra, okrążywszy głęboką kotlinę, zarośniętą bambusami, przystanął nagle i pochylił się aż do samej ziemi.

Nie tyle wzrok, ile węch podszeptał mu, iż jest bliski celu.

Nozdrza Hindusa rozděły się szeroko i pochwyciły dobrze znany łowcy zapach.

Obejrzał ziemię.

Spostrzegł od razu stratowane krzaki, a na małej polanie głębokie doły, wybite nogami biegnących słoni.

Guarra naliczył sto dwadzieścia śladów. Trzydzieści słoni! Zbadał trop dokładnie, mierząc go małą, ciemną dłonią.

Tak — niezawodnie! Musiały tędy przebiec niedawno niskorosłe, słabe, „mierga” — najgorszy, najdrobniejszy, gatunek słoni. Cóż to splószyło je? Dlaczego uciekły bezładnie i rozpierzchły się po dżungli?

W tym miejscu nawet małe odbiegły od samic i miały się widocznie, szukając matek!...

Tylko jeden słoń trąbi gdzieś na moczarach, lecz inne nie odpowiadają mu.

Przecież muszą słyszeć, bo ryk jego rozbrzmiewa chyba aż pod stromymi skałami Pelli?

Wydobył z worka mocny rzemień i zadzierzgnąwszy dwa węzły, zrobił pęta.

Położywszy się na ziemi, wślizgnął się w chaszczę i czołgał się dalej jak wąż wśród zwalonych drzew i głązów okrytych zaroślami paproci.

Ryk — przeciągły niby szloch, zbliżał się.

Guarra zaczął się za zwałem kamieni i czekał.

Słyszał trzask suchych gałęzi i krzaków, odgłosy ciężko stąpających nóg.

Łowca zamienił się w słuch i wzrok.

Zagadka została wkrótce rozwiązana.

³⁷panikis — tropiciel i łowca słoni. [przypis edytorski]

Człowiek ujrzał nagle olbrzymiego słonia, jakich od dawna nie widziano w środkowym Hindostanie.

Szedł, ślaniając się i trzęsąc głową. Zarzuciwszy trąbę na leb otwierał paszczę i wydawał przeraźliwy ryk.

Guarra myślał, że widzi przed sobą ciężko ranne zwierzę.

Jednak, gdy słoń przeszedł w pobliżu, łowca nie dojrzał na trawie ani kropli posoki³⁸.

Olbrzym szedł jak ślepy, uderzając się bokami i łbem o drzewa i potykając się o leżące kłody.

Hindus już śmieiej podążył za nim i dogonił go w chwili, gdy ślizgając się na okrągłych kamieniach, słoń usiłował przebrnąć przez suche łożysko potoku.

Ruchem pantery śmignął łowca i dopadł słonia. Kilka błyskawicznych, nieuchwytnych ruchów rąk — i pęta ścisnęły tylne nogi zwierza.

Słoń nie poczuł tego nawet. Uczynił krok naprzód, potknął się i upadł, głucho uderzając bokiem o kamienie.

Guarra nie kryjąc się więcej, zbliżył się do niego i przyglądał mu się uważnie.

Olbrzymie zwierzę zamierzało powstać, lecz pęta zaciskały się coraz silniej i sprawiały mu ból. Miotła mu się ogromna głowa, trąba kurczowo czepiała się ziemi, przednie nogi kopały i rozrzucały kamienie.

Hindus spostrzegł odciski na jego kolanach i pręgi na bokach, karku i piersiach.

Guarra gwizdnął cicho. Domyślił się, że schwytał słonia Birarę, o którego wypytywali wszędzie gońcy maharadży.

Był bardzo uradowany, bo oczekiwał sutej nagrody.

Usiadł pod urwistym brzegiem i nie patrząc na swego jeńca, marzył.

Znużyło go to, więc zdrzemnął się trochę.

Nie znał Birary stary tropiciel, bo gdyby znał, nie usnąłby tak lekkomyślnie o sto kroków od leżącego i wierzgającego słonia, kierowanego niegdyś przez małego kornaka — Amrę.

Birara, przekonawszy się, że nie uda mu się zerwać pęt, ani też podnieść się z ziemi, nagle jak gdyby się uspokoił.

Przestał sapać i szamotać się.

Podkurczył tylne nogi, jak mógł najbliżej do piersi, i udało mu się wreszcie końcem trąby dotknąć pęciny. Namacał pętlę, zgarnął łączący je rzemień i szarpnął.

Uczuł ostry ból, bo twardy rzemień wpił mu się w skórę.

Nie powstrzymało go to bynajmniej. Szarpał i targał więzy raz po raz, aż nie wytrzymały i z głośnym kłapnięciem pękły.

Birara podniósł się prawie bez hałasu i pozostawiając za sobą krwawy ślad, skradał się do śpiącego spokojnie człowieka.

Runął wreszcie na niego, porwał i zakręciwszy młynkiem nad głową, cisnął go o ziemię.

Podbiegł potem do leżącego i już podniósł potworną, podobną do grubego słupa nogę, aby zmiażdżyć mu głowę, zdruzgotać kości, a następnie wgnieść, wtłoczyć, wbić w ziemię, gdy...

W tej samej chwili przyszło mu na myśl, że to człowiek przecież leży przed nim! Nigdy dotąd nie zaznał nic złego od człowieka...

Opuścił nogę i obwachał łowcę.

Guarra stracił przytomność czy może udawał nieżywego, bo nie oddychał, leżał z zamkniętymi oczami i nie ruszał się.

Birara potrafił go nogą, odszedł kilka kroków i obejrzał się nieufnie.

Podszedł raz jeszcze i znowu obwachiwał go, cicho mrucząc.

Nie oglądając się już — oddalił się szybkim krokiem i zniknął za pagórkami.

Nie widział już, że łowca wstał, jęcząc rozcierał sobie ramiona i nogi, a potem kulejąc, ruszył w przeciwną stronę.

Birara szedł długo bez celu.

Obudziło się w nim coś z dzikiego mieszkańca dżungli assamskiej.

Nie węsząc i nie rozglądając się po okolicy, wiedział, dokąd ma iść.

³⁸posoka (daw.) — krew. [przypis edytorski]

Szukał teraz samotności, pragnąc znaleźć miejsce, gdzie nic nie przypominałoby mu dawnego życia, gdy nosił na karku małego, kochanego Amrę.

Szukał dziewiczej, nietkniętej stopą ludzką dżungli.

Chciał być tam, gdzie nigdy nie rozlegał się stuk siekier drwali, nie padały okrzyki poganiaczy i nie skrzypiały koła ciężkich wozów, naładowanych mahoniowymi kłocami lub złomami kamieni.

Wolałby już nawet nie słyszeć głuchych głosów małp, świergotu i skrzeku ptactwa.

Instynkt zwierzęcy kierował nim.

Przedzierał się przez dżunglę, dwa razy już przepływał rzeki i przekroczył nagi grzbiet górski.

Znowu ogarnęła, pochłonęła go dżungla. Głucha cisza panowała tu.

Znikły nawet małpy, bo i one przeważnie wolą trzymać się w pobliżu pól, na które robią zuchwałe wyprawy.

Zatrzymał się tu i wypoczywał przez cały dzień.

Miejscowość była wymarzona i obfitowała w niezbędny pokarm. Potok przecinał knieję. Nic nie zakłócało spokoju i ciszy.

Birara wypoczywał i wchłaniał w siebie powiewy wolności.

Jadł dużo, kąpał się i spał.

Pewnej nocy przyśnił mu się Amra.

Mały kornak szedł przez dżunglę i wołał:

— Chodź tu, staruszkule! Biegnij do mnie, dobry, miły Birara!

Słoń obudził się nagle i cały wstrząśnięty zjawą nocną, pobiegł.

Uderzył się łbem o zwisającą gałąź, której nie dostrzegł w mroku. Zamroczyło go, więc zawrócił w inną stronę i znowu biegł, objijając się o pnie, zdzierając sobie skórę z boków i kalecząc nogi.

Wówczas dopiero oprzytomniał i znowu porwała go wściekłość niepohamowana.

Nawet tu, nawet w tym ustronnym, dzikim ostępie, nie pozostawiają go w spokoju ludzie; nawet w tej samotni niemej dręczą go wspomnienia minionych przeżyć!

Znowu ryczał przeciągle i cienko, łamał zwisające gałęzie, tratował krzaki i wbijał kły w pnie drzew. Nie czuł, że złamał sobie jeden kieł, nie widział, że krew mu spływa po głowie, a piana spada na trawę białymi płatami.

W tym samym czasie z pobliskich gór wychodziła na żer plamista pantera, kurcząc okragły pysk i drapiąc ziemię pazurami.

Usłyszawszy jęgliwe trąbienie słonia, całym ciałem przywarła do ziemi i słuchała.

Czymś tak ponurym i strasznym rozbrzmiewał ten ryk, że drapieźny kot stulił uszy, ogon zwiesił lekliwie i umknął do legowiska.

Słońce, zajrzawszy do dżungli, jak gdyby z podziwem spoczęło na olbrzymim, szarym cielsku słonia. Wsparty łbem o pion drzewa, siedział na zgiętych tylnych nogach, zbryzgany pianą, skrwawiony, dyszący ciężko.

Zwalił się wreszcie na bok i pozostał nieruchomy, śmiertelnie wyczerpany.

Zdawało się, że już nie żył, lecz chude, o wystających żebrach boki wznosiły się i opadały, a rozdęta gardziel z rżeniem wciągała powietrze.

Do chaszcy zajrzała hiena. Kręciła krótkim, złym pyskiem i zerknęła żółtymi, chciwymi ślepiami.

Cofnęła się jednak i odbiegłszy daleko, zachichotała ponuro i zuchwale.

ROZDZIAŁ XIII. STRZAŁ W DŻUNGLI

Birara nie pamiętał, kiedy i jak stanął na nogi. Nie wiedział też, jak dawno już szedł bez celu i bez myśli.

Musiał iść, bo jedynie w ruchu nie dręczyła go tęsknota.

Nie spał, bo się bał widziadeł nocnych, drżał na myśl o rozpacz, która, niby nieznaną wąż potworną, wpatrywała się weń zielonymi oczyma niemającymi litości.

Więc szedł. Szedł w dzień i w nocy. Kroczył po dżungli tam i sam³⁹. Odchodził i powracał na to samo miejsce, nie poznając go.

³⁹*tam i sam* — tu i ówdzie; bez celu. [przypis edytorski]

Błąkał się bezmyślnie, nic nie czując i niczego nie pragnąc. Przestał jeść i nawet pragnienie mu nie dokuczało.

Tysiące kleszczyków wżerało mu się w brzuch, w delikatną skórę za uszami, muchy lęgły się w opuchniętych, ropiejących oczach, lecz słoń nie odczuwał bólu.

Nie słyszał, że jakiś gwizd urwany niby biczem smagnął ciszę kniei.

Chrapy słonia nie wyczuły lekkiego zapachu dymu i obecności ludzi.

Dwóch ich czaiło się w pobliżu, a już od rana szli tropem Birary.

Guarra, pokazując białemu człowiekowi ślady słonia, kręcił siwą głową i mruczał:

— Wściekły samotnik krąży po dżungli, sahibie!

Po nieudanym schwytaniu Birary przebiegły Hindus przyszedł do białego człowieka i spytał go:

— Czy sahib chciałby zapolować na dużego słonia?

— Zapłaciłbym ci sto rupii za wytropienie go! — ucieszył się Anglik, zawołany myśliwy.

Tegoż dnia wyszli na poszukiwanie rzadkiego zwierza. Z trudem odnaleźli jego ślady i teraz skradali się do niego.

Birara podchodził do głębokiego jaru i nie wiedział, że tam właśnie zaczął się biały człowiek. Szedł obojętny na wszystko, ślepy i głuchy, pozbawiony myśli i woli.

Anglik podniósł karabin do ramienia i mierzył starannie.

Mierzył w jedyne, naprawdę śmiertelne, nie szersze od ludzkiej dłoni miejsce, co leży pomiędzy okiem słonia, a obsadą ucha.

Już naciskał cyngiel, zmrużywszy lewą powiekę, gdy Birara zawadził nogą o wystającą z ziemi korzeń i potknął się.

W tej samej chwili buchnął strzał, a kula utkwiała w boku zwierza.

Słoń padł na kolana i zacharczał. Z trąby i pyska kapłała mu krew i strugą spływała na pierś.

Birara uczynił nagle straszliwy wysiłek i wstał.

Spod nóg obsunął mu się brzeg urwiska. Słoń potoczył się na dół, łamiąc krzaki i porywając za sobą kamienie.

Posłyszał nowy strzał. Gdzieś zupełnie blisko gwizdnęła kula i uderzyła w drzewo, odłupując od niego drzazgę.

Zerwał się więc i pobiegł wzdłuż wąwozu, wypadł na szeroką płaszczyznę, przeciął ją wielkim pędem i znalazł się znowu w gąszczu drzew i krzaków.

Chrapał i bluzgał posoką, szkarłatny ślad biegł tuż za nim, a trawy i gałęzie krzaków kołysały się, strząsając na ziemię krople krwi.

Biegł długo, a coraz wolniej i ciężiej.

Stanął, gdy noc zapadła.

Oprzytomniał zupełnie. Zrozumiał, że to śmierć go gonila.

Zwęszył bliskość wody.

Odnalazł jezioro, wszedł w głębinę i zanurzywszy się aż po szyję, pozostał tak do rana.

Po wschodzie słońca długo się mozolił, usiłując podnieść się na stromy brzeg.

Nogi odmawiały mu posłuszeństwa, drżały i uginały się pod ciężarem ciała.

Nie mógł westchnąć głęboko, bo ostry ból przeszywał mu pierś.

Dyszał pośpiesznie, jak gdyby po długim biegu lub wdrapywaniu się na górę.

Krótki, urywany oddech zakończył się kaszlem, a wtedy w gardle coś bulgotać zaczęło i zatkało mu nozdrza.

Chciał parsknąć, aby wyrzucić z trąby lepką pianę i czarną, zgęszczoną posokę.

Nie mógł uczynić tego przebitymi płucami, więc rzęził i znowu dyszał porywczo i szybko.

Gorączka trawiła go i dreszcze wstrząsały zboliałym, nagle osłabłym straszliwie ciałem.

Prawie nieprzytomnym, zamglonym wzrokiem spojrzął przed siebie.

Na środku jeziora ostatnią iskrą świadomości Birara spostrzegł wyspę. Wysokie drzewa podnosiły nad nią swe rozłożyste konary, ciągnęły się ku niebu pierzaste liście palm.

W tej samej chwili udało mu się wyrzucić z gardzieli zwał zapieczonej krwi. Od razu poczuł ulgę, bo mógł teraz oddychać nieco głębiej i spokojniej.

Powróciła mu przytomność, a z nią razem myśl o niebezpieczeństwie.

Po raz pierwszy zaświtła ona w mózgu oswojonego słonia.

Wyspa, Bezpieczeństwo

Pod opieką starego kornaka, a potem Amry, nie zaznał nigdy strachu. Ludzie usuwali przed nim każde niebezpieczeństwo, dbając i troszcząc się o zdrowie swego pomocnika.

Teraz nagle Birara przekonał się, że dżungla, ten wolny kraj, tał w sobie niebezpieczeństwa bez liku. Być może w tej właśnie chwili skrada się ono ku niemu, nieznanie i okropnie, jak to, co wczoraj przeszło go rozpalonym ostrzem i pozbawiło sił.

Dziki, obłądny strach ogarnął serce i mózg słonia.

„Ratunku! Ratunku! — miotaly się myśli. — Jestem słaby i chory... Chcę spokoju i wypoczynku... Muszę się ukryć... zniknąć bez śladu...”

Wyspa z nieznaną siłą pociągała ku sobie wzrok Birary.

Zdawało mu się, że słyszy jakiś surowy nakaz, natarczywą radę.

Zesłizgnął się do wody i raz jeszcze spojrzawszy na wyspę, popłynął.

Sunał powoli, bo gwałtowne ruchy sprawiały mu ból. Dostawał napadu ciężkiego kaszlu, a woda zalewała mu gardło.

Zanim dopłynął, siły kilka razy opuszczały go.

Birara coraz to zanurzał się z głową i znikał pod powierzchnią wody. Rozpaczliwym wysiłkiem mięśni wypływał po chwili i z jakimś tępy, beznadziejnym uporem posuwał się naprzód.

Ranny, osłabły słoń utonąłby niechybnie, lecz szczęśliwie trafił na podwodną łachę. Dotknął ją słabnącymi nogami i stanął na twardej ziemi.

Odetchnął trochę i wypoczął.

Biegł przez mieliznę, potykając się o leżące na dnie, skamieniałe pnie drzew i wpadając do dołów. Dotarł wkrótce do głębin i znowu popłynął.

Krótki wypoczynek podtrzymał siły słonia.

Zamajaczyły przed nim zwisające nad wodą gałęzie i korzenie drzew.

Birara z wielkim trudem, nie zważając na straszliwy ból, na kolanach wczłgał się na brzeg i upadł wyczerpany.

Nie mógł uczynić najmniejszego ruchu i to go przerażało.

Wciąż jeszcze ścigał go strach — bezmyślny, górujący nad wszystkimi uczuciami i przytłaczający myśli. Czuł, że musiał odejść jak najdalej od brzegu ukryć się starannie, wcisnąć się do jakiejś skrytki, aby żadna żywa istota nie mogła go dojrzeć.

Nie był w stanie dźwignąć się z miejsca.

Przeleżał w nadbrzeżnych krzakach aż do nocy. Nie wiedział, czy spał czy tracił przytomność.

Obudził go głośny plusk, po którym dobiegł zgrzyt żwiru i przeciągłe syczenie.

Unióś głowę i z przerażeniem w oczach spojrzął na wąskie pasmo nadbrzeżne.

Uspokoił się natychmiast. Poznał krokodyle, wynurzające się z jeziora i wypelzające na piasek.

Widział te gady na Tapti i Narbadze i nie bał się ich.

Ucieszył się nawet. Skoro krokodyle wyszły na brzeg — mógł być pewny, że w pobliżu nie ma żadnego wroga.

Księżyc wypłynął spoza wierzchołków drzew i oświecił dżunglę i jezioro, które natychmiast okryło się srebrną łuską. Powiał świeży wiatr. Pogwar rozkołysanych gałęzi i poszept liści biegł ponad wyspą.

Birara zebrał resztki sił i podźwignął osłabłe ciało.

Stanął, lecz kolana ugięły się pod nim; uderzył piersią o ziemię.

Uczył nową próbę i tym razem utrzymał się na nogach.

Robiąc małe kroki, powłókł się w głąb lasu.

Widno w nim było, bo blade oblicze księżycza zaglądało wszędzie.

Odszedłszy kilkaset kroków, słoń położył się znowu, raczej usiadł z wpartymi w ziemię przednimi nogami.

Już wiedział, że nie może się kłaść na boku. Ile razy tak uczynił, natychmiast zaczynała mu płynąć krew z paszczy i tamować oddech.

Dotykając grzbietem grubego pnia, drzemał.

Czuł wyraźnie, że jakieś ciepłe wężyki lachoczą mu skórę.

Nie mogło widzieć bezwładne zwierzę, że na boku w poświacie księżycza lśniła się szeroka struga płynąca z jego rany.

Słabnął coraz bardziej, drżał na całym ciele i przymykał oczy.

Księżyc, Światło, Las

Choroba

Dopiero w południe powróciły mu siły, więc zwłókl się ze swego legowiska i jęcząc z cicha, zaczął szukać jakiejś skrytki.

Rozumiał, że człowiek nigdy jeszcze w tej dżungli nie bywał.

Od czasu napadu panikisa nienawidził ludzi i cieszył się, że nie spotka ich tu, w tym dzikim, niedostępnym uroczyszczu leśnym.

Szedł więc coraz dalej, rozglądając się uważnie. Po przejściu przez zwiłkany gąszcz krzaków, lian i traw — na liściach i gładkich pędach pozostawiał czarne nacieki i czerwone krople krwi, którą broczyła mała ranka na boku.

Birara nie węszył, bo nie mógł wciągnąć powietrza, jednak coś raptownie podrażniło jego powonienie.

Nieznany głos kazał mu szukać.

Szedł z wyciągniętą trąbą i usiłował wciągnąć powietrze krótkimi, świszczącymi westchnieniami.

Na polance znalazł niskie krzaki. Miały drobne, podłużne listki i małe, czerwone strączki, o ostrym, gorzkim zapachu.

Był to dziki pieprz.

Birara jął gorączkowo zrywać czerwone owoce, żuć je, czując, jak straszliwie pali go w paszczy i gardle, a ożywcze ciepło rozchodzi się po ciele.

Najadł się pieprzu, przeżuł liście i gałązki krzaku, wyrwał korzenie i zjadł je.

Miał gorycz i płomień we wnętrzu. Jednocześnie zaczęły mu się kleić oczy, a rozkoszne ciepło ogarniało mózg i serce.

Zobaczywszy w pobliżu kilka zwałonych drzew, wcisnął się pomiędzy ich zbutwiałe kłody i leżał na paprociach, piersią oparty o rozwidlone konary. Usnął natychmiast i spał bardzo długo. Może ze dwa lub ze trzy dni.

Gdy się obudził, miał zdrętwiałe nogi i obolałe stawy. Wstał jednak i poszedł do jeziora.

Pił chciwie i badał siebie.

Rana mniej mu już dokuczwała, kaszel ustał, a oddech stał się wolniejszy i głębszy.

Powrócił na polankę i znowu jadł czerwony, gryzący pieprz, w trawie wyszukiwał jakieś zioła, których nigdy przedtem nie widział, ale bezwiednie czuł, że mu są potrzebne.

Odnalazł swoją skrytkę i wkrótce usnął na nowo.

Dopiero w tydzień po postrzale Birara postanowił wykapać się. Wszedł do jeziora i pozostawał tak długo, aż krwiożercza horda kleszczów oderwała się od jego skóry i opadła na dno.

Woda zmyła skrzepłą krew na bokach i orzeźwiła go.

Gdy wyszedł na brzeg, uczuł głód.

Zerwał kilka agaw i posiłił się — po raz pierwszy od szeregu dni.

Potem wyszukał ziółka lecznicze i głośno mlaskając językiem, przeżuwał palące strączki pieprzu i pluł czerwoną śliną.

ROZDZIAŁ XIV. DO LUDZI

Cały tydzień jeszcze Birara leczył się i wypoczywał.

Przekonał się, że siły mu powracają z dniem każdym, lecz że nie mógł jeszcze wdychać głęboko, co dawniej sprawiało mu taką przyjemność. Ze smutkiem myślał, że nie potrafiłby już zatrzeć donośnie.

Teraz mruczał nawet i chrząkał znacznie ciszej i rzadziej, bo natychmiast zaczynał się kaszel, którego bał się najwięcej.

Razem ze zdrowiem powróciła tęsknota.

Birara pragnął ujrzeć ludzi, posłyszeć ich głos, co przypominałoby mu Amrę, małego, kochanego kornaka, i tego drugiego — w białym ubranku z pasem szkarłatnym.

Niewolnicza dusza oswojonego słonia ciągnęła do ciemiężców i władców.

Obszedł więc wyspę dokoła. Długo patrzył na bieg słońca i niebo, w nocy zaś śledził ruch księżyca.

Zabrało mu to dwa dni, ale za to wszystko już poznał, zrozumiał i zbadał.

Przepłynął jezioro i jął się przedzierać przez dżunglę, kierując się ku północy.

Szedł coraz szybciej, bo dążenie do celu dodawało mu sił.

Tęsknota, Niewola

Zaszedł jednak niespodziewany wypadek.
Birara natrafił na połać dżungli nawiedzonej przez straszliwy orkan południowy.
Potężne mahonie, magnolie i palmy leżały wyrwane z korzeniami, inne — nadłamane opierały się o konary stojących w pobliżu drzew.
Słoń z trudem przedzierał się przez ten smutny szmat lasu, gdy potracone przez niego drzewo upadło nagle, uderzając go w głowę i grzbiet.
Birarę zamroczyło.
Długo stał, potrząsając łbem i przestępując z nogi na nogę, bo mu jakoś dziwnie drętwiały. Gdy ruszył, rzuciła mu się krew gardłem; o mało się nią nie zachłysnął, po czym kaszleć zaczął ciężko i przeraźliwie, obryzgując trawę gęstą, lepką pianą.
Chciał iść dalej, lecz już nie mógł.
Niedawno zabliźniona rana otworzyła się, sącząc ropę. Próżno szukał zbawczego pieprzu — nie było go tu.
Odnajdywał tam i ówdzie jakieś nikłe ździebelka ziół leczniczych, zrywał je i żuł, smutnie wbijając wzrok w ziemię.
Wlókł się strasznie wolno.
Tracił już nadzieję, że dojdzie kiedyś, lecz kierunku nie zmieniał, dążąc niezmiennie ku północy.
Wreszcie dotarł do celu swoich marzeń.
Biedny, chory, wyniszczony olbrzym, najprawdziwszy „kumiria”, duma całego wybrzeża od Cambay do Bombaju, ujrzał przed sobą dżunglę górską, otoczoną drutem kolczastym.
Małe oczki błysnęły mu radośnie. Podniósł trąbę, aby wydać łagodny, donośny ryk, lecz zzymnął się cały i drgnął. Nieznośny ból przeszył go, a suchy, ostry kaszel jął rozsadzać płuca.
Birara, czując zawrót głowy, parsknął krwawą pianą i rzeził chrapliwie.
Uspokoiwszy się nieco, wyrwał słupek podtrzymujący druty i wszedł do zakazanego ostępu, należącego do TASFINA, maharadży Satpury.
Słoń wkroczył do jej wnętrza od południa, więc szedł znów ku północy.
Pamiętał dokładnie, że po tamtej stronie dżungli znajdzie wąwóz ze śladami ogniska i okopconą dymem skałę, dalej — łąkę, a za nią — sztachety i duży gmach, gdzie...
Ach! Nie chce już wspominać tego, co minęło na zawsze...
Pragnie tylko ujrzeć te drogie dla niego miejsca, wciągnąć całą piersią to samo powietrze, którym oddychali mali, kochani przyjaciele i...
Nie pożył niczego poza tym. Aby tylko dojść, aby dojść!
Noc go zastała, gdy nie zdążył jeszcze ująć połowy drogi.
Zatrzymał się i oparty o drzewo drzemał.
Spać nie mógł i nie kładł się, bo dręczył go kaszel i dokuczał ostry, wzmagający się z każdą chwilą ból w piersi.
Do świtu pozostawało jeszcze sporo czasu, bo nawet gibbony nie odzywały się jeszcze, gdy coś zaniepokoiło Birarę.
Usłyszał krótki, urywany świst. Zupełnie taki sam, jaki pochodził od białych ludzi, gdy zapędzano do pułapki dzikie słonie, przed którymi szedł on — Birara, posłuszny woli małego Amry.
Jął nadsłuchiwać i jak mógł, węszył na wszystkie strony.
Nie wąpił już, że dżungla otoczona jest ludźmi.
Poza tym świstem nic więcej nie mąciło ciszy, lecz Birara nie ufał jej teraz.
Podniósł uszy i chwytając ostrym słuchem najsłabszy szmer; daleki trzask gałęzi pękającej pod stopą nieznanej istoty, echo przytłumionych nawoływań.
Raptem od północnej strony, dokąd z takim mozolem i cierpieniem dążył Birara, gdzieś daleko jeszcze zagrała trąbka.
Urwała po chwili, a wtedy od południowej strony dżungli rozległy się głosy ludzi.
Duża przestrzeń dzieliła ich od słonia, więc na razie tylko jego ostry słuch mógł pochwytać krzyki, uderzenia kijów po drzewach, a nawet zbliżający się tupot nóg.
Zrozumiał zresztą niebawem, że to nie stopy ludzkie sprawiały ten hałas i czyniły coraz wyraźniejszym i bliższym łomot i trzask krzaków.
W pobliżu zaczajonego słonia przebiegali teraz przerażeni mieszkańcy dżungli.

Przemknęła para saren, sadząc susami przez krzaki.

Jeleń o wspaniałych, rozłożystych rogach przegonił je, lecz stanął nagle i węszył, strzygąc uszami.

Przez zarosła tamaryndowe klusem biegł dziki bawół, podnosząc co chwila głowę i poruszając rozdętymi chrapami. Za nim dążył, jeżąc szczecinę na karku, ponury odyniec.

Dalej, przyciskając się do ziemi, zmykały szakale, tchórzliwie oglądając się.

W wysokiej trawie mignęła plamista skóra pantery czy lamparta...

Z głośnym rechotem i skrzeczeniem skakały z drzewa na drzewo małpy — duże i małe.

Nawet ptaki, porwane wszczynającym się niepokojem, z przeraźliwym krzykiem ciągnęły ponad drzewami.

Tygrysiasty, okryty pręgami i plamami pyton, olbrzymi „poddapoda”, postrach małp, posłyszał coś niezwykłego.

Wąż leżał zwinięty wśród grubych konarów drzewa, podobny do potwornej narości lub dziwaczego sęka, i czatował na zdobycz.

Posłyszawszy niezwykle odgłosy budzące trwogę, szybko przerzucił swe zwinne, prężne ciało z gałęzi na gałąź, aż ześlizgnął się na ziemię i ukrył się pod kupą gnijących pni, zasnutych dzikim winem i wiotkimi pędami asfodeli.

Wszystko, co żyło, szukało ratunku w ucieczce.

Głosy ludzi zbliżały się, potężniał stuk pałek i jazgot grzechotek.

Birara nie ruszał się z miejsca. Stał jak wryty i słuchał.

Widocznie miał nadzieję, że ludzie ominą jego kryjówkę.

Przypomniawszy sobie dżunglę, gdzie ludzie otoczyli moczary i wypłoszyli dzikie słonie, a te pokornie poszły za nim — niewolnikami do zdradzieckiej zagrody.

Nie znalazł jednak Birara hinduskich naganiaczy, tym bardziej tych, którzy pędzili zdobycz na stanowiska zajmowane przez ich władców.

Naganiacze ci wiedzieli, że wśród krzaków stał w ukryciu sam Tasfin, a na linii strzelców — radźowie pobliskich księstw i biali sahibowie, których władca Satpury podejmował wspaniałymi ucztami i łowami.

Pokrzykiwali więc i postukiwali kijami tak blisko, że Birara widział wyraźnie obchodzących go z obydwu stron Hindusów. Ludzie przedzierali się przez krzaki, wikłali się w wysokiej trawie i w sieci zwisających z drzew lian.

Dwóch z nich, od dawna już dostrzegło trop słonia — wyłamany słupek ogrodzenia, wytłoczone jego nogami doły, stratowana trawa i wyrwane krzaki znaczyły wyraźnie jego szlak.

Krzycząc przeraźliwie i turkocząc grzechotkami, wchodzili do chaszczy, gdzie stał Birara.

Jeszcze się obawiał ludzi, bo myślał, że nie pozwolą mu dojść do wąwozu, nad którym zwisa skała, okopcona dymem ogniska Amry...

Musi tam dojść!...

Czuje, że w tym zawiera się ostatnie, najgorętsze pragnienie jego... jakiś cel nieznanym...

Musi tam dojść! Nie da się ludziom osaczyć i usidlić!

Naganiacze tymczasem podchodzili coraz bliżej i bliżej.

Zebrawszy wszystkie siły, Birara podniósł trąbę i nagle ruszył ze swego legowiska.

Z traskiem tratował krzaki i szedł szerokim klusem, coraz wyżej zadzierając głowę. Nie czuł już bólu i bulgocącej w gardle piany, parł naprzód ku wymarzonej łące, gdzie pozostawił swe wierne, kochające serce, oddane małemu kornakowi...

ROZDZIAŁ XV. POWRÓT

Birara, słysząc poza sobą wzmagające się, coraz przeraźliwsze i drażniące go krzyki, wycie, stuk, turkot i gwizd, pędził naprzód.

Biegł takim pędem, robił tak wielki hałas, że nie słyszał nawet strzałów padających tam, dokąd dążył, goniony strachem i ścigany przez tropiących go ludzi.

Dyszał ciężko i otwierał paszczę szeroko, aby wciągnąć jak najwięcej powietrza, stale mu brakującego. Chciał zboczyć na prawo, lecz naganiacze wszczęli natychmiast strasliwy

Polowanie, Zwierzę

hałas; spróbował biec na lewo — przeraziły go basowe dźwięki rogów i wściekły huragan okrzyków.

Zmuszony więc był biec wprost przed siebie.

Słoń nie mógł przeniknąć zamiarów goniących go ludzi.

Hindusi znali się na łowach w dżungli. Pędzili więc wspaniałą zdobycz, kierując ją na stanowisko swego władcy.

Birara ujrzał wkrótce, że poprzez drzewa przegląda już błękit nieba.

Zbliżał się do skraju dżungli.

Zwolnił kroku i podszedłszy do gęstych, wysokich zarośli palmowych, stanął.

Wyciągnął trąbę i węszył. Nie czuł już teraz bliskiego niebezpieczeństwa, jednak jakaś nagle budząca się w nim nieufność zmuszała go do czujności.

Ostrożnie rozsuwając chaszczę, postąpił kilka kroków naprzód i znowu stanął.

Przez twarde, ostre liście rafii wytknął sam koniec trąby i wciągał powietrze krótkimi, urywanymi chwytnymi. Byстрым wzrokiem ogarniał znajdującą się przed nim miejscowość.

Widział zaczynającą się tuż za palmami szeroką, otwartą płaszczyznę.

Musiał iść przez nią, więc rozglądał się bacznie, badał ją węchem i słuchem.

Nic budzącego obawy nie wyczuwał, a że goniący go ludzie z hałasem pędzili przez knieję, ruszył dalej.

Już przebył połowę drogi do czerniejącej w oddali ściany dżungli, gdy nagle gdzieś z boku rozległy się strzały, a w ślad z nimi — huk z przeciwnej strony.

Kule ze złośliwym poświstem przemknęły tuż nad nim, niektóre z nich z syczącym klaskaniem wbiły się w ziemię.

— Aj-oj-oj! Ho-ho! U-u-u! — miotał się za biegnącym olbrzymem zwichrzony orkan krzyków, jazgot, przeraźliwe trąbienie rogów.

Jak smagnięty tysiącem batów, Birara, skupiając wszystkie siły, pędził wprost przed siebie, aby jak najprędzej dopaść zbawczej dżungli, zniknąć z oczu ścigających go ludzi i ukryć się przed tym, co najwięcej przerażało go swym groźnym świstem.

W pędzie przelotnie tylko spostrzegł leżącego nieruchomo jelenia, trochę dalej gaura, który wierzał nogami, usiłując podnieść rogaty łeb.

Wpatrując się w ciemne chaszczę dżungli, która stawała się coraz bliższa, ujrzał nagle coś, co zmusiło go gwałtownie zwolnić bieg.

Spoza krzaków i zwalonych pni podniósł się człowiek. W rękach jego błysnęła lufa karabina i jęła się zniżyć.

Naganiacze zrobili swoje, zmusiwszy niezwykłą zwierzynę wyjść na stanowisko maharadży.

Ujrawszy olbrzymiego słonia, zdumiał się Tasfin.

„Wielki łowczy nie donosił mi nigdy o słoniach w tym małym ostępie...” — pomyślał i wzięwszy na cel mknące zwierzę, czekał na stosowną chwilę.

Naczelnik nadwornych strzelców, stojący za władcą, zawołał nagle głosem, w którym brzmiało przerażenie:

— Wielki, najjaśniejszy panie! To Birara, słoń następcy tronu, królewicza Nassura!

Lufa strzelby błysnęła znowu, bo maharadża opuścił ją, przyglądając się słoniowi.

Birara tymczasem zdążył zwolnić swój rozpęd i miotał się teraz, szukając ratunku. Bezradnie rzucał się w różne strony, lecz teraz spostrzegł wszędzie zaczajonych ludzi z bronią w ręku. Nie śmieli jednak strzelać przed maharadzą. Słoń nigdy przedtem nie widział broni, lecz w tej chwili przerażała go ona, bo czuł płynący od niej powiew śmierci.

Już poczęła go ogarniać rozpacz, już chciał, niepomny na niebezpieczeństwo, runąć na zaczajonych ludzi lub zawrócić, zgnieść i stratować goniących go Hindusów.

Zdyszany i zziębły jęł chrapać, dusząc się krwawą, lepłą pianą.

Porwał go gniew bezmierny, a ból przeszywał mu porywczco wznoszące się boki.

W tej chwili padł głośny okrzyk:

— Birara!

Gdyby nawet strzał armatni w hałasie przeraźliwych dźwięków i zgiełku rozległ się teraz — nieprzytomny i wściekły słoń nie posłyszałby go.

To zaś słowo, słyszane tyle razy z ust Amry, rozbrzmiało jak uderzenie pioruna.

Birara stanął jak wryty i nadsłuchiwał.

Może to tylko wydało mu się? Przecież już raz mu się to przydarzyło? Wołał go Amra, którego nigdzie znaleźć nie mógł, wołał z bliska... lecz był to sen!

— Birara! — rozległo się wołanie po raz drugi.

Spoza krzaków podniósł się człowiek okazałej postawy i wyciągnąwszy ku niemu rękę, powtórzył:

— Birara! Birara!

Słoń z cienkim, żalonym, pełnym skargi jękiem pobiegł na zew.

Już widział wyraźnie barczystego mężczyznę o ciemnej, poważnej twarzy i szerokiej, czarnej brodzie. Jakies błyski wspomnień przeszywały mózg Birary.

Wypreżywszy trąbę, wciągnął powietrze tak głęboko, że aż ryknął z bólu w piersi, lecz po chwili już obejmował stojącego przed nim człowieka, dał na niego, wymachiwał ogonem i wydawał krótkie, jęklive kwilenia.

Poznał tego człowieka.

Wsadzał go sobie na grzbiet w wąwozie, gdzie Amra z przyjacielem rozpalali ognisko, gdzie się raczył owocami mango i gdzie płynęły najszcześniejsze dni jego życia.

Birara tulił Tasfina do piersi, coraz goręcej dmuchał mu w twarz, żalił się tęsknym, zbolałym łkaniem, a gdy maharadża, wzruszony i zdumiony, poklepał go po szyi, puścił go, podniósł trąbę i wydał drżący, radosny ryk.

Nie chciał już wcale odejść od Tasfina i dreptał wciąż koło niego, przestępując z nogi na nogę, wzdychając i chrząkając.

Maharadża spostrzegł na piersi słonia pianę zabarwioną krwią i rzekł do strzelca:

— Spójrz no, Fuzalu, czy nie dostał Birara postrzału?

Hindus uważnie obejrzał słonia.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł po chwili — Birara ma kulę w boku, lecz rana goi się już zaczęła... o, widzę też przeciętą skórę na pęcinach, złamany kiel i szeroką bliznę na łbie... Dostało się biedakowi... bo chudy jest... i chory.

Maharadża pieścił słonia, głaszcząc go po trąbie, i szeptał:

— Co się z tobą działo, stary Birara? Po cóż to od nas uciekłeś? Któż cię skrzywdził?

Słoń patrzył na mówiącego łzawiącymi się oczami, wzdychał i chrząkał.

Od czasu do czasu obejmował trąbą maharadżę i znowu dmuchał nań gorącym oddechem.

Tam i sam padały jeszcze strzały. Naganiacze wypędzali z chaszczy zacząjone zwierzęta i te szły na śmierć, przeszywane kulami.

Tasfin nie strzelał więcej.

Wzdrygnął się na myśl, że mógłby zabić ulubienca Nassura.

— Dziękuję ci, Fuzalu! — zawołał, spojrzawszy na strzelca.

— Władco! — odpowiedział Hindus. — Szczęśliwy jestem, jeżeli sprawiłem ci, wielki panie, radość, lecz nie wiem...

— Poznałeś z daleka Birarę! — objaśnił Tasfin i poklepał sługę po ramieniu.

Strzelec pochylił się i ucałował rękę maharadży.

— Weźmiesz słonia i będziesz go leczył i pilnował, aby wydobrze! — dodał Tasfin.

— Rozkazałeś, najjaśniejszy panie! — skłonił się strzelec. — Znam skuteczne leki: czerwony pieprz dziki i gorzkie zioła „rostaramu”...

— Dobrze! — skinął głową maharadża. — Musisz go doprowadzić do zdrowia!

Naganiacze podchodzili już do stanowisk myśliwych. Od skrzydeł linii strzelców zagrały trąbki. Łowy były skończone.

Znoszono i składano w długi szereg upolowaną zdobycz.

Tasfin zamierzał iść, aby obejrzyć leżące gaury, dziki, jelenie i duże lamparta. Chciał też powinszować pięknej zdobyczy najszcześniejszym strzelcom.

Ledwie ruszył z miejsca, jak Birara chrapnął, a w oczach jego błysnęła rozpacz.

Jak to? Jego przyjaciel odchodzi? A co będzie, jeśli i on zniknie nagle, podobnie jak kochane chłopaki o miłych głosach i drobnych dłoniach, pieszczotliwie dotykających jego trąbę? Nie! Birara nie przeżyłby tego po raz drugi!

Takie myśli świtały w szerokim łbie słonia, takie obawy dręczyły jego serce, które poznało palącą tęsknotę i ciężkie cierpienia.

Birara, chrząknąwszy cicho, objął Tasfina i wsadził go sobie na grzbiet, po chwili uczynił to samo z Fuzalem i podniósł uszy.

Pytał:

— Co mam robić? Powiedźcie, a wszystko uczynię!

— Naprzód! — rzekł strzelec.

Słoń ruszył. Zatrzymano go przed zdobyczą, leżącą na rozkładzie, więc zdumionym wzrokiem przyglądał się nieżywym już mieszkańcom dżungli i pochrapywał trwożnie. Nie mógł pojąć, dlaczego ciała ich leżą tak spokojnie, zimne i skrwawione? Niepokój i jak gdyby gniew podnosiły się z głębi jego serca.

Gdy otrąbiono powrót do pałacu, maharadża chciał zejść ze słonia i wsiąść na oczekującego go rumaka, lecz Birara ostrożnie schwycił władcę za nogę i przytrzymał.

W pomruku słonia Tasfin wyczuł taką gorącą prośbę i tyle trwogi, że zrozumiał wszystko — i to, że Birara ucieszył się ze spotkania z nim, i to, że boi się go stracić na nowo.

Uśmiechnął się i zawołał:

— Ruszajmy, Birara: w drogę!

Słoń, wymachując ogonem i trąbą, zamruczał radośnie i podreptał na czele pochodu.

Zapomniał o wszystkim na świecie. Nie czuł już bólu w bokach, ani dychawicy duszącej go, ani też słabości w znękanym ciele.

W tej chwili zdawało mu się, że potrafiłby wydobyć i wyciągnąć z mułu najcięższy kłoc mahoniu lub przetoczyć na dużą odległość złom białego kamienia.

Świłała mu też nadzieja, że skoro odnalazł dobrego człowieka o czarnej brodzie i dźwięcznym, poważnym głosie, ujrzy też wkrótce małego kornaka i chłopca w białym ubranku, przepasanym szkarłatną szarfą.

Przyśpieszał więc kroku, pomrukiwał i chrząkał coraz bardziej ochoczo. Podnosił co chwila trąbę nad głowę i węszył, jak gdyby chciał się upewnić, czy dobry człowiek, którego niósł niegdyś z wozu, siedzi jeszcze na jego karku, i czy to on poklepuje go ciepłą, delikatną dłonią.

ROZDZIAŁ XVI. OCZEKIWANIE

Na łące pomiędzy skałami a ogrodem pałacowym, przechadzał się Birara. Miał dziwny wygląd. Szerokie pasy płócienne okrywały jego boki, obandażowane nogi wydawały się wprost potwornie grube.

W pobliżu sztachet żołnierze postawili kubel napelniony czerwonymi strączkami dzikiego pieprzu i żółtych, wonnych ziól. Słoń od czasu do czasu podchodził i trąbą brał lekarstwo. Wywijając ogonem i kurcząc wargi, długo żuł, chrapiąc przeraźliwie, a gdy odchodził od swej „apteki”, roztwierał paszczę szeroko, oddychał szybko i głośno.

Mieszkańcy stolicy tłoczyli się na przeciwległym brzegu rzeki i śmiejąc się, patrzyli na Birarę, który zamaszycie maszerował ku wodzie i pił, aby ugasić płomień, palący mu wewnątrz.

Każdego ranka na łące zjawiał się Fuzal z pomocnikiem. Szli, niosąc bandaże i słoń z maścią. Strzelec starannie obmywał ledwie zabliznione, nieraz krwawiące jeszcze rany ogromnego pacjenta i nakładał opatrunek. Słoń stał spokojnie, mruczał i trąbą dotykał ostrożnie lekarza. Gdy Fuzal odchodził, Birara szedł za nim i przy bramie obejmował go i dmuchał mu w twarz, spoglądając nań z wdzięcznością.

Zwykle Birara stał w samym środku łąki, niezmiennie zwrócony głową ku pałacowi. Bacznie śledził każdego człowieka, przechodzącego przez plac, i chwilami przechylał łeb na bok, jak gdyby zdumiony.

W południe, stanąwszy przed bramą, trąbił krótko i rozkazująco.

Warta otwierała podwoje. Birara szedł uroczystym krokiem przed pałac.

Zatrzymawszy się przed kolumnadą wejścia, znowu dawał sygnał.

Miał on jednak teraz odmienne brzmienie — wyrażał prośbę i radość.

Po chwili zjawiał się Tasfin, maharadża Satpury, i zbliżał się do przyjaciela.

Birara drepcząc na miejscu, machał ogonem, wachlował uszami i mruczał.

Tasfin klepał słonia po bokach i głowie, a Birara obejmował go i dmuchał, zerkając oczkami, pełnymi radosnych błysków.

Spotkanie to i pieszczoty trwały długo, bo słoń nie chciał rozstawać się z człowiekiem, budzącym w nim tyle drogich, wzruszających wspomnień.

W osobie Tasfina mieściło się teraz całe minione życie Birary.

Nie pamiętał lat ciężkiej pracy, a nieraz i głodu nawet, odpędzał wspomnienia swych przygód po ucieczce, do której popchnęła go tęsknota.

Echa tych przeżyć zagłuszył w swym sercu, bo płonęło w nim gorące przywiązanie do Tasfina, człowieka, który podobnie, jak on — Birara — widział słodkich chłopaków i słyszał ich łagodne, dźwięczne głosy, zawsze brzmiące w duszy słonia.

Powróciwszy w końcu na swoją łąkę, dążył do wąwozu.

Stawał w cieniu skały, zrywał kilka owoców mangowych i szedł do zbudowanego niedawno chlewu, gdzie kładł się na miękkiej podściółce ze słomy, zasypiał bez snów i zmór.

Pewnego razu spostrzegł niezwykle ruch koło pałacu.

Niejasny, lecz ostry niepokój zagnieździł się na nowo w jego sercu.

Słoń przechadzał się koło ogrodzenia i nie spuszczał oczu z tego, co się działo przed siedzibą królewską. Wynoszono stamtąd meble, kobierce, zasłony, trzepano je i wietrzono. Ogrodnicy przekopywali kłomby, ozdabiali je nowymi, kwitnącymi roślinami.

Niezawodnie robiono jakieś przygotowania.

Przed innym skrzydłem pałacu wyprowadzano, myto i czesano rumaki i muły, rewidowano powozy i palankiny, wkładane na grzbiety łowczych słoni.

Służba czyściła i odnawiała terlice, popręgi, napierśniki, siodła i inną uprzęż.

Birara nie rozumiał, co się dzieje. Ruch, panujący wokoło gmachu znużył go. Odszedł, lecz niepokój i niewyraźne jeszcze, lecz słodkie przebłyski nadziei nie opuszczały go.

Co chwila podnosił głowę, słuchał, węszył, czując, jak coraz silniej bije mu serce.

W nocy nawet budził się często, wstawał i szedł ku bramie.

Przecisnąwszy trąbę pomiędzy sztachety, węszył głośno.

Niepokój i przecucie wielkiego szczęścia wzrastały w nim z dniem każdym.

Witając Fuzala i wpatrując się w oblicze Tasfina, miał w oczach niecierpliwe, niemal żądne pytanie.

Był tak przejęty tym, co nadążało ku niemu z nieznannej, tajemniczej dali, że nie zdawał sobie sprawy ze swego dziwnego stanu.

Tymczasem zachodziły w nim dziwne, zatrważające zmiany.

Budząc się rano, nie mógł zebrać sił, aby się podnieść. Jakiś bezwład trzymał go w swej mocy, w piersi i głowie panowała pustka — ciemna i przerażająca.

Borykał się z tą niemocą tak długo i uporczywie, aż dopóki nie zdobył władzy nad steranym, słabnącym coraz bardziej ciałem.

Podnosił się ze słomy, otrząsał się i wychodził na łąkę, drżąc i slaniając się.

Gdyby nie miał przygotowanego pieprzu i ziółek, zmuszony byłby z pewnością położyć się bez nadziei odzyskania sił i woli.

Do południa chodził chwiejnym krokiem, wzdychał i jęczał.

Fuzal codziennie meldował maharadży, że Birara, mimo iż rany zabiły mu się na dobre, słabnie z dniem każdym i chudnie.

— Rób, co chcesz — mówił do niego władca — lecz musisz zachować go przy życiu do przybycia królewicza! Nie ustrześliśmy jego ulubieńca!...

Naczelnik strzelców królewskich odwiedzał Birarę po kilka razy na dzień, a nawet w nocy zaglądał do jego chlewu, przynosząc mu garść pieprzu i kubek wody.

Słoń przestał sypiać.

Leżał co prawda, lecz ciągle poruszał uszami i nadsluchiwał niecierpliwie.

Nie odwiedzał już wąwozu i całymi dniami stał przed bramą, wpatrzony w plac, roz-taczający się przed fasadą pałacu.

Wciągał powietrze i mruczał żałośnie.

Zdawało się, że mówił:

— Wiem, już wiem, ale, na miłość Boga, prędzej... prędzej! Mogę się nie doczekać...

Birara tupał nogami, chrapał i dmuchał na głaszczącego go żołnierza z warty pałacowej.

Wkrótce pozostawał przy bramie przez całą noc.

Na schylonych nogach tkwił przed nią jak bryła z kamienia.

Wciąż węszył i słuchał...

Najsłabszy nawet dźwięk dochodzący z daleka zmuszał go podnosić uszy i ostrożnie, czujnie kręcić głową.

Gdy niepokojące go odgłosy milkły, parsknął i wzdychał żałościwie.

Żądał teraz po kilka razy na dzień, aby go wpuszczano na plac.

Stawał przed pałacem i trąbił potężnie.

Podbiegał do wychodzącego ku niemu maharadży, dotykał trąbą jego ramienia i jęczał, pytając z utęsknieniem:

— Kiedyż? Kiedyż?

Król rozumiał te namiętne dźwięki i dziwił się, że słoń już wie, iż stolica Satpury wygląda przybycia Nassura — „syna brata słońca”.

Nie domyślał się jednak Tasfin, że serce słonia tęskniło za synem Warory, biednego kaleki-żołnierza, że myśl jego biegła przede wszystkim do Amry, małego kornaka, którego pokochał na całe życie i bez którego to życie stało się dlań męką i źródłem niebezpiecznych, nieznośnych cierpień.

„Amra! Amra!” — to słowo brzmiało w głowie i sercu starego, schorzałego słonia.

Dla tego małego chłopaka żył teraz i odganiał blade widmo śmierci, chwilami zasnuwające mu nieprzeniknioną mgłą cały świat i napełniające mrokiem mózg tęskniącego olbrzymia.

ROZDZIAŁ XVII. PROMIENNY DZIEŃ

Birara od dwóch dni nie nocował w chlewie i nie kładł się.

Stał na łące zwrócony głową ku pałacowi i patrzył przed siebie smutnym, nieruchomym wzrokiem.

Chwiały się na zgiętych w kolanach nogach, wzdrygał się chwilami, jak gdyby przeszywał go nagły dreszcz, i wzdychał. Czuł coraz większą, prawie przerażającą słabość i pustkę w sercu. Gdyby mógł rozumować, nie potrafiłby określić, czy czuwał, czy też drzemał przez te długie dnie i noce.

Wiedział, że stanął przed czymś nieuniknionym, co się zbliża równym, stanowczym krokiem.

Nie zamierzał kryć się i bronić przed nadchodzącym... Nie wiedział jeszcze, co by to miało być i czym mu ono groziło?

Czuł ową groźbę w odgłosie kroków czegoś nieznanego i czekał cierpliwie, bez oporu i trwogi.

Birara spełnił rozkaz tej tajemniczej istoty również pokornie, jak wykonywał ciche rozkazy Amry...

Minęła jeszcze jedna noc...

Umilkły i ukryły się cykające nietoperze; przebrzmiały dalekie głosy małych witających świt; rozległy się senne głosy budzących się ptaków.

Słońce ozłociło dżunglę rosnącą na szczytach skał, a wkrótce trysnęło promieniami na łąkę ze stojącym na niej słoniem.

Birara nie słyszał trąbki samochodowej, zgrzytu jego kół na żwirze i chrzęstu karabinów żołnierzy prezentujących broń.

Uszy miał nastawione, trąbę podwiniętą, oczy otwarte, lecz pozostawał głuchy i ślepy, znużony śmiertelnie, słaby bezmiernie, niemal bezwładny.

Nie poruszył się nawet na odgłos otwieranej bramy i tupotu nóg biegnących ku niemu chłopaków.

Drgnął i potrząsnął głową dopiero wtedy, gdy ciepłe, delikatne dłonie dotknęły trąby jego, piersi i nóg, a radosne głosiki powtarzały jedno tylko słowo:

— Birara! Birara!

Ciemna zasłona spadła mu z oczu i natychmiast obudziły się w nim zmysły.

Wszystkie one krzyknęły naraz:

— Amra! Amra!

Ileż to razy zwdziżyły go wymarzone zjawy, więc nie wierzył im teraz.

Przymknął oczy i ostrożnie, lecz głęboko wciągnął powietrze.

Węch targnął całym olbrzymim ciałem, a każda kropla krwi powtórzyła:

— Amra! Amra!

Podniósł uszy i cały zamienił się w słuch.

Do najdalszych zakątków mózgu doszło zrozumienie:

— Amra! Amra!

Wreszcie podniósł znowu powieki i spojrział bojaźliwie.

Nie wierzył jeszcze, drżał na myśl, że upragniona zjawia rozwieje się jak mgła, prysnie jak z nagła porwany wiatrem kurz przydrożny.

Nie! Nie! Widzi przecież przytulonych do siebie chłopaków, słyszy ich słodkie głosy, czuje ciepło ich rąk i policzków, przyciśniętych do jego pomarszczonej, steranej i zbolalej skóry.

Wtedy padł na kolana, z cienkim, jak zgrzyt stali po szkłe, przenikliwym jękiem, objął Amrę, przycisnął do siebie i jął dąć na niego gorącym, porywczym oddechem.

Długo pieścił swego kornaka, przyglądał mu się, szukał jego wzroku i niemal omdlewał ze szczęścia, słysząc cichy, wzruszony szept:

— Birara! Birara! Biedny, dobry, miły staruszku mój! Co się z tobą dzieje, wierny przyjacielu?

Zwolnił chłopaka i przytulił do piersi Nassura; zajrzawszy mu w oczy, zrozumiał, że królewicz płacze, więc dmuchał na niego, jak gdyby pragnął osuszyć te łzy, płynące z serca.

Siły w sposób cudowny powróciły mu; a wraz z nimi — radość i beztraska.

Birara zabawnie dreptał na miejscu, tupał i, wywijając ogonem i trąbą, i jak gdyby przez mgłę, patrzył na nich, trząsł szerokim łbem i pochrząkiwał radośnie.

Wsadził sobie chłopaków na grzbiet i wesoło trąbiąc, ruszył ku wąwozowi.

Gdy usiedli pod skałą, na dawnym miejscu, Birara stanął naprzeciwko, a z małych jego oczek płynęły łzy bezmiernego szczęścia.

Wkrótce zmusił swych przyjaciół wstać i obejść cały wąwóz, aż do bagienka, gdzie Nassur spotkał się z okularnikiem. Birara z własnej woli jął tupać i tratować ziemię, zerwał parę korzonków, zjadł kilka mango i znowu stanął pod okopconą skałą.

Chłopcy zrozumieli, że słoń przypominał im o dawnych wyprawach do „wąwozu przyjaciół”.

Zdumienie i rzewność ogarnęły ich.

Znowu przytulili się do starego przyjaciela, a Birara dotykał ich trąbą, dął potężnie i mrużąc oczy, mruczał radośnie.

Słoń nie dopuszczał teraz myśli o rozłące.

Powrócili więc razem przed pałac.

Chłopcy weszli do wnętrza, słoń, chrząkając niespokojnie, został przed gmachem i czekał.

Gdy mali przyjaciele wyszli do niego po obiedzie, ruszyli znowu do wąwozu.

Wkrótce jak dawniej płonęło tam ognisko, rozlegały się wesołe głosy chłopaków i radosne pomruki słonia.

Amra i Nassur słyszeli już od maharadży o niektórych przygodach Birary.

Oglądali więc głębokie blizny, które niby bransolety widniały na pęcinach słonia.

Mały kornak kiwał głową i mówił:

— Myślę, że są to ślady pętli. Może panikisi chcieli schwytać Birarę?

Mała, biała plamka, taka drobna i niewinna na pozór, nie pozostawiała wątpliwości.

Był to ślad kuli.

— Któż to ośmielił się strzelać do mego słonia? — pytał, groźnie marszcząc brwi, królewicz.

Nikt w Satpurze nie przyznałby się do tego strzału, więc pozostał na zawsze tajemnicą.

O sprawcy postrzału nie wiedział nawet sam Birara. Pamiętał tylko, że umierał od tej kuli, lecz nie widział człowieka, który wypuścił ją z lufy karabinu.

Chłopaki całowały⁴⁰ Birarę w szeroki łeb, gdzie widniał ślad głębokiej rany zadanej spadającym drzewem, i oglądały złamany kiel.

Amra mówił smutnym głosem do Nassura:

— Patrz, królewiczu! Poczciwy Birara żyje bardzo długo, bo dziadek Bauli był jeszcze małym chłopakiem, gdy słoń przeszedł do naszej rodziny... Birara pracował ciężko, a wszakże zachował swoje kły. Dopiero teraz stracił jeden z nich... Jak się to stać mogło?

Pytanie to skierował do słonia, kładąc rękę na pozostałym odłamku kła.

— Opowiedz nam, dobry staruszku, opowiedz, co ci się przydarzyło?

⁴⁰chłopaki całowały (...) i oglądali — dziś popr. raczej: chłopcy całowali (...) i oglądali. [przypis edytorski]

Słoń zrozumiał, czego żądają od niego mali przyjaciele.

Błyski bić zaczęły z jego oczu, podniósł uszy i zadarłszy trąbę, wydawał przeraźliwy ryk, jęczał żałośnie, żalił się ponuro.

Chciał opowiedzieć im wszystko, wszystko...

Nic nie opuścić, przypomnieć każdą chwilę tęsknoty żrącej i beznadziejnego oczekiwania, rozpacz i wściekłość; pragnął przeżyć raz jeszcze gorzki poniżenia, gdy wolne słonie wzgardziły niewolnikiem: odczuć radość ponurej zemsty nad nimi; włożył w swój ryk skargę na podstępного tropiciela, zarzucającego mu pęta na nogi, opowiedzieć o ostrym bólu od przeszywającej go kuli, o męczeńskiej włóczędze przez dżunglę, gdzie pozostawił krwawy ślad; o zgrozie, gdy tonął w jeziorze, a potem chory, słaby i zropaczony błakał się po dżungli, dążąc do ludzi...

Ryczał i trąbił z przejęciem aż białe płachty piany spadać poczęły na trawę; wtedy dopiero umilkł, wyczerpany.

Chłopcy nie zrozumieli mowy olbrzyma. Wyczuli w niej jednak ból i tęsknicę, więc tulili się do Birary, głaskali go, całowali i szepotali słowa pieszczotliwe.

Ukojenie i cicha radość wstępowały do serca rozżalonego zwierzęcia, wzburzonego nawahnicą wspomnień.

Powrócił do pałacu. Birara pozostał pod oknami chłopców.

Na rozkaz Nassura żołnierze przynieśli mu paszę, owoce i wodę.

Słoń spał, lecz budząc się, podnosił trąbę i węszył.

Uspokojony, zasypiał znowu — szczęśliwy, pełen cichej, rzewnej radości.

ROZDZIAŁ XVIII. WIELKIE ŁOWY

Maharadża Tasfin urządzał wielkie łowy doroczne.

Do siedziby władcy Satpury zaczęli przybywać goście.

Zajeżdżały samochody, wiozące najważniejszych urzędników angielskich, przybywali maharadzowie, pomniejsi władcy drobniejszych państw i generałowie armii brytyjskiej rozlokowanej w Indiach.

Wspaniale, huczne uczty wydawał Tasfin na cześć gości.

Rozległy ogród otaczający pałac aż do późnej nocy świecił tysiącami barwnych latarek, na jeziorze krążyły rzęsiście oświecone łodzie, w których uczutowano i bawiono się wesoło. Na wysepce w malowniczym, z białego marmuru wzniesionym pawilonie, dostojni goście podziwiali tajemnicze tańce hinduskich dziewcząt i wojownicze pantominy mężczyzn w starodawnych zbrojach.

W tym samym czasie dwa tysiące naganiaczy pod komendą wielkiego łowczego osaczało dżunglę dimurską.

Wprawni łowcy wynajdywali najmniejsze przesmyki, którymi mogła przejść zwierzyna, i zastawiali je mocnymi sieciami. Ani jedna żywa istota nie powinna była wyjść z matni.

Najlepsi tropiciele od kilku miesięcy czuwali nad knieją, zbadali każdy jej zakątek i wiedzieli, co się czai w gęstych szuwarach na bagnistych łąkach, w zaroślach tamaryndów i w palmowych chaszczach, ukrytych w parnym zaduchu zawsze mrocznej dżungli.

Dimur od dawna służył jako siedziba jeleni i dzikich bawołów.

Wiedzieli o tym łowcy, wiedzieli też potężne przegowane i cętkowane koty — tygrys, lampart i pantera.

W ostępach leśnych i na moczarach odbywały się nieraz krwawe zapasy i ponure zbrodnie.

Jelenie i byki walczyły ze sobą podczas rykowiska; na zwycięzców i zwyciężonych czyhały straszliwe drapieżniki.

Śmigwały w powietrzu ich wyprężone ciała i spadały na grzbiety bawołów i jeleni.

Zwinne, mocarne gaury walczyły odważnie i groźnie, strząsając z siebie pantery, wbijając w napastnika rogi i tratując go potężnymi racicami.

Jelenie unikały bitwy i mknęły w obłądnym popłochu, szukając ratunku w szybkim biegu lekkich, prężnych nóg.

Dżungla dimurska stawała się nieraz świadkiem zaciętych pojedynków, gdy na grząskich polanach spotykało się dwu nieprzejednanych wrogów — królewski tygrys bengal-

Zwierzęta, Walka,
Polowanie

ski i potworny, ponury odnieniec o czarnej, zjeżonej na karku szczecinie, błyskający bielą ostrych, krzywych szabel i ogniem wściekłych ślepi.

Nikt nie może przewidzieć wyniku tej walki. Przeciwnicy bowiem posiadają równe siły i jednakowe zacięcie bojowe.

Tę to dżungłę osaczył podwójnym kołem ludzi, sieciami i sznurami wielki łowczy Tasfina.

Wstawił się on sztuką urządzania polowań, które sływały w całym Hindostanie.

Ukryte w kniei zwierzęta od dawna zwęszyły wielką ilość ludzi, lecz za późno wyczuły groźne niebezpieczeństwo.

Gdy zamierzały wyrwać się z ostępu, napotkały już wszędzie zastawy, zagrody lub wzbudzające w nich strach chorągiewki, powiewające na przeciągniętych sznurach.

Zwierzęta powracały więc w głąb dżungli i miały się bezradnie.

Wkrótce powrócił im spokój, ponieważ przekonały się, że ludzie nie zbliżają się i pozostają na swoich miejscach.

Trwało to jednak niedługo.

Tasfin na czele swoich gości przybył na miejsce łowów.

Strzelcy rozmieszczali myśliwych na wyznaczonych stanowiskach.

Ukryci za ogrodzeniem z grubych belek czekali na sygnał łowczego.

Tasfin przybył do Dimuru z synem.

Władca ze swym następcą siedzieli w namiocie, ustawionym na grzbiecie wytresowanego do łowów słonia.

Nieodstępny towarzysz królewicza — Amra wraz z nim pociągnął na łowy.

Jechał na Birarze, siedząc, jak zwykle, na karku słonia.

Płonął cały, z niecierpliwością oczekując rozpoczęcia łowów.

Obaj chłopcy słyszeli tyle niezwykłych opowieści o polowaniu w dżungli, że uprosili maharadżę, aby ich wziął ze sobą.

Słonie z jeźdźcami stały w ukryciu poza linią myśliwych.

Miały wystąpić później, gdy rozpocznie się ostateczna rozgrywka.

Wielki łowczy podszedł do władcy.

— Wszyscy myśliwi i naganiacze są na swoich miejscach, najjaśniejszy panie! — rzekł z ukłonem.

Tasfin skinął głową i z lubością słuchał czystych, potężnych dźwięków srebrnego rogu, którym z taką umiejętnością posługiwał się wielki łowczy.

Dżungla odpowiedziała tysiącnym echem, niosąc sygnał od drzewa do drzewa, od uroczyszcz do ostępu, od skał do bagien, ukrytych za ścianą bambusowych zarośli.

Zaczajeni, zastygli w namiętym oczekiwaniu myśliwi długo nie słyszeli innych głosów, chociaż nagonka ruszyła już, pędząc przed sobą zwierzynę na stanowiska strzelców.

Po godzinie dopiero zaczęły dobiegać okrzyki Hindusów, jazgot grzechotek i stuk pałek o drzewa.

Wkrótce potem z gęstwiny zaczęły się wyrwać i migać wśród pni i krzaków wysmukłe jelenie, potężne, brunatne bawoły i czarne kadłuby dzików.

Padaly strzały i gasły życia mieszkańców dżungli.

Tam i sam leżały już zabite pantery i lamparty, lecz nikt z myśliwych nie dojrzał jeszcze tygrysa.

Wielki łowczy zatrąbił raz jeszcze.

Był to krótki sygnał.

Natychmiast nastąpiła dziwna cisza.

Nie padały już strzały ze skrytek myśliwych.

Umilkły trwożne nawoływania małp, które skacząc po wierzchołkach drzew, szczęśliwie minęły linię strzelców.

Nie rozlegał się już tupot nóg uciekających zwierząt, trzask i szelest rozsuwanych i tratowanych krzaków i trzciny.

Naganiacze przestali pokrzykiwać i hałasować, pędząc zwierzynę.

Zaczajone, pełne drażniącego oczekiwania milczenie zaległo dżunglę.

Z rzadka tylko dobiegało z daleka basowe rechotanie gibbonów.

Skrzeczwały lękliwie barwne cissy, przelatując nad lasem.

Cisza, Las,
Niebezpieczeństwo

Gdzieś w oddali, czując zdobycz, drapieźnie kwilił sęp, zawieszony wysoko pod ob-
lokami.

Drobne ptaszki, zwabione ciszą, fruwały w zaroślach i szczebiocząc, uganiały się za
owadami.

Dzięciół zawzięcie bębnił dziobem w dziuplasty sęk.

Wyraźnie dawał się słyszeć lekki szmer skrzydeł dużych motyli i cichy zgrzyt biegu
chyżych jaszczurek śmigających w trawie.

Najostrzejszy słuch nawet nie mógłby pochwycić obecności myśliwych, tłumnie ze-
branych naganiaczy i osaczonych przez nich zwierząt.

Strzelec Fuzal, zajmujący stanowisko na wysokim drzewie, oglądał okolicę. Jego źbi-
cze, wprawne oczy dostrzegły wkrótce coś, czego oczekiwał od dawna.

Trzciny, wyprostowane w nieruchomym powietrzu, drgnęły jednocześnie w trzech
miejscach, a po chwili chylić się zaczęły bez szmeru i szelestu.

Jakieś zwierzę sunęło, czolgając się w ich gąszczu nieprzeniknionym.

Fuzal syknął cicho i wbijając porozumiewawczy wzrok w wielkiego łowczego, wskazał
na zwartą ścianę bambusów.

Ten podszedł do maharadży i w milczeniu podniósł rękę.

Kornak uzbrojony w dzidę ścisnął kolanami szyję słonia.

Zwierzę, nawykłe do polowań tego rodzaju, podniosło trąbę i ruszyło naprzód.

Słoń chrapał cicho, niespokojnie węszył i poruszał uszami.

Zbliżała się najważniejsza, najbardziej podniecająca chwila.

Słoń miał wejść do zarośli i wypłoszyć z nich zaczajone tam tygrysy.

Musiały wypaść z chaszczy na polanę i narazić się na kule myśliwych. Mogły jednak
również skoczyć na słonia.

To królewskie polowanie, grożące niebezpieczeństwem, wymaga celnego oka, zimnej
krwi strzelca, a jednocześnie odwagi kornaka, sprytu i siły słonia.

Dwa słonie jednocześnie podchodziły do zarośli.

Na jednym z nich jechał maharadża z synem, małym Nassurem; na drugim wicekról
Indii, najwyższy przedstawiciel Wielkiej Brytanii.

Nikt nie wiedział, co się działo za ścianą wysokich bambusów.

Zapadły w nich i zaczęły się tygrysy.

Dwa duże samce dopęły aż do samego skraju, trzy tygrysyce pozostały w tyle.

Na samym niemal początku polowania naganiacze zruszyli je z legowiska, lecz tygrysy
przemykały się tak ostrożnie, że Hindusi nie spostrzegli przegowanych drapieźników.

Dotarli do zarośli, zwierzęta wiedziały już o wszystkim. Rozumiały, że są w matni,
z trzech stron otoczone ludźmi, robiącymi straszliwy hałas. Tygrysy miały przed sobą
jedyne wyjście — przeciąć polanę i na drugim końcu ukryć się w dżungli.

Drapieżne zwierzęta słyszały jednak grzmiące pod lasem wystrzały, a rozdęte ich chra-
py pochwytywały zapach ludzi, prochu i słoni.

Węszyły niebezpieczeństwo najbardziej groźne, czające się na obszernej, odkrytej płasz-
czyźnie.

Tygrysy wyczołgały się z zarośli i płaszcząc się w wysokiej trawie, powracały ku na-
gance. Skoczyć nagle, ryknąć, przerazić i przerwać się przez łańcuch osaczających je ludzi
— takie były zamiary zuchwałych drapieźników.

Lecz Hindusi znali się na wybiegach i odwadze tygrysów.

Wiedzieli, że ani krzyki, ani trajkocące grzechotki nie odstraszą i nie wstrzymają do-
prowadzonych do wściekłości przegowanych, potężnych kotów.

Po krótkim sygnale rogu podpalono suchą trawę i nagromadzone stopy gałęzi.

Płomienie i dym spłoszyły tygrysy.

Już nie kryjąc się wcale, zawróciły nagle, ogromnymi susami dopadły zarośli bam-
busów i zaczęły się w nich.

Wyrwijące się z ust naganiaczy okrzyki przerażenia wskazywały, że zbliża się chwila
decydująca.

Tygrysy tymczasem rozmieściły się na skraju bambusowych chaszczy.

Czekały na sposobność, aby wypaść z nich i rozpierzchnąć się w różne strony.

Wyciągnięte na ziemi, drżały gotowe do skoku, wbijały żółte ślepia w zbliżające się ku
nim słonie, śledziły ruchy siedzących na nich ludzi i pazurami drapały ziemię.

Polowanie

Władza, Kolonializm

Polowanie, Zwierzęta,
Strach, Ogień

Słoń maharadży od dawna już zwęszył tygrysy. Zdawało mu się nawet, że widzi na wprost siebie dwa zaczajone drapieżniki.

Zwinął więc trąbę do ciosu, nadstawił kły i szedł, niezwykle wysoko podnosząc potworne nogi.

Kornak trzymał nad głową dzidę, za pomocą jej drzewca kierując słoniem, wpatrywał się w chaszczę.

Maharadża z palcem na cynglu broni klęczał w palankinie, przygotowany do strzału.

Słoń chrapnął nagle.

Na lewo od niego rozległ się głuchy, ochryply ryk. Huk wystrzału rozdarł ciszę, a po nim wszczęły się bezładna strzelanina, zmieszany gwar, krzyki i nawoływania.

To słoń wicekróla wypłoszył tygrysy, do których oddano kilka strzałów.

Przed maharadżą o kilkanaście kroków od jego słonia, podnosiły się nieruchome bambusy, w których panowała cisza.

Stojący na skraju dżungli Amra z wysokości Birary widział całe polowanie.

Spostrzegł wyrwijące się z gąszczy tygrysy. Klasnął w dłonie, gdy wicekról celnym strzałem położył jednego z nich. Drugi padł na polanie, przesyty kulami innych myśliwych; trzeci, rycząc i kulejąc, dopadł krzaków i znikł w nich, ścigany przez strzelców.

Przyglądał się teraz słoniowi maharadży.

Rozumne zwierzę coraz wolniej i ostrożniej szło ku tajemniczej gęstwini. Wiedziało, że tygrysy nie dopuszczą go, że lada chwila wypadną, a wtedy... jedno z dwojga — będzie zmuszony stoczyć z nimi walkę lub leż posłysz huk wystrzałów, którymi się zakończy to niebezpieczne spotkanie.

Słoń, podnosząc nogi wysoko, postąpił krok, jeszcze jeden... jeszcze...

W tej samej chwili z trzaskiem pochylili się bambusy i w powietrzu mignęło długie, wspaniałe ciało tygrysa. Rycząc chrapliwie i prychnąc, wyciągał w skoku potężne łapy, aby wbić ostre, zakrzywione pazury w słonia, wdrapać się na jego grzbiet i zmierzyć się z najbardziej nienawistnym wrogiem — człowiekiem.

Słoń nadstawił kły i wyprężył mięśnie trąby.

Do walki nie doszło tym razem.

Maharadża błyskawicznym ruchem podniósł karabin do ramienia, i strzelił. Kula przeszła serce zwierza. Tygrys padł i zeszywniał od razu.

Nassur z radosnym okrzykiem, porwany zapalem myśliwskim, ześlizgnął się ze słonia i podbiegł do wspaniałej zdobyczy.

W tej chwili z zarośli wypadła zniecka tygrysysa.

Ujrawszy chłopaka, przywarła do ziemi i wbiła w niego wściekle źrenice.

Koniec wyciągniętego ogona zwijał się kurczowo, ciało drżało, prężąc się do skoku.

— Naprzód! Naprzód! — wołał kornak.

Słoń, przerażony niespodziewanym napadem drapieżnika, ryczał i cofał się. Gdy kornak uderzył go dzidą, jął trząść głowę i nagle zawrócił gwałtownie.

Maharadża strzelił, lecz nieoczekiwany ruch słonia udaremnił jego zamiar.

Kula chybiła i z szelestem siekła twarde pręty bambusów.

Słoń, trzęsąc łbem i rycząc, uciekał klusem.

Amra widział skok Nassura i wypadającego z chaszczy tygrysa.

Krzyknął i ścisnąwszy nogami szyję Birary, zawołał:

— Prędeż! Prędeż! Naprzód!

Olbrzym ruszył całym pędem.

Widział wszystko, co zaszło na polowaniu, i czuł, jak należy czynić.

Zaczął od tego, że pobiegł tak szybko, jak nigdy tego dotąd nie czynił.

Nawet podczas owej pamiętnej ucieczki przed kulami czyhającego nań nieznanego człowieka i ścigającymi go w dżungli naganiaczami — nie dochodził do takiego rozpędu olbrzymiego, ciężkiego ciała.

ROZDZIAŁ XIX. WIERNI PRZYJACIELE

Rozpęd, jakiego nabral sędziwy Birara, jego groźne trąbienie i straszliwy tupot nóg przeraziły tygrysa.

Zwierzęta, Pojedynek,
Walka, Śmierć

Widząc przed sobą potężnego wroga, który z całą stanowczością mknął do ataku, drapieźnik w ostatniej chwili niemal już wykonywanego skoku nagle zmienił plan.

Już nie zwracał uwagi na chłopaka, przycisnął się jeszcze bardziej do ziemi, wpierając w nią tylne łapy i przygotowując się do skoku wwyż.

Zamierzał jak kamień spaść słońowi na łeb, wyszarpać mu oczy, rozedrzeć zwiniętą w kabłąk trąbę i przegryźć tętnicę.

Birara w mig pochwycił te myśli zwierza i wyprostowawszy trąbę, trzymał ją pionowo, naprężywszy wszystkie mięśnie. Tygrys, rzucając się na niego, musiał spotkać tę zagrodę, a w skoku nie mógłby ani pochwycić jej, ani też ominąć.

Nie zwalniając biegu, śledził każdy ruch strasznego przeciwnika, a najmniejszy skurcz jego przegowanej skóry lub drganie ogona nie uszło jego uwagi.

Nie wątpił, że tygrys skoczy ku niemu, że oczekuje go krwawa rozprawa, i że od jego zwycięstwa zależy życie Amry i Nassura, stojącego tak nieruchomo, jak gdyby skamieniał w bezmiernym przerażeniu.

Wreszcie Birara zaczął zwalniać bieg. Jeszcze wyżej podniósłszy uszy i rycząc groźnie, szedł naprzód przygotowany do bitwy.

Zaledwie kilka kroków oddzielało go od tygrysa, gdy Amra, ślizgnąwszy się po boku słonia, zeskoczył i stanął tuż przed królewiczem. W ręku małego Hindusa błysnęła „kora” — ostry, krzywy jak sierp nóż.

Nie oglądając się na chłopców, Birara zasłonił ich swym ciałem i wydał krótkie trąbienie, wyzywając wroga na śmiertelny bój.

Słoń i tygrys mierzyli się wzrokiem.

Trwało to jedno mgnienie oka, które wydało się wszystkim wiecznością. Goście, strzelcy i słudzy maharadży nie śmieli ruszyć się z miejsca w obawie, że przyspieszy to napad drapieźnika.

Rozumiał to też i Birara. Należało zatem uprzedzić skok tygrysa i samemu przejść do ataku.

Podnosząc nogi wysoko, aby móc w każdej chwili przycisnąć wroga do ziemi, słoń ruszył naprzód z przeraźliwym trąbieniem.

Tygrys nie czekał dłużej i skoczył.

Uderzył się piersią o wypreżoną trąbę i o mało nie spadł słońowi pod nogi, lecz zdążył mu jeszcze wbić pazury w wargę, tuż nad kłębem, drugą zaś łapą wczepić mu się w ucho.

Birara otrząsnął się potężnie i szarpnął łbem.

Tygrys runął na ziemię, odrywając wrogowi płat skóry i połowę ucha.

Słoń nadepnął na leżącego, lecz ten wywinął się i z chrapliwym rykiem skoczył znowu.

Tym razem jedną łapą dosięgnął karku olbrzyma, drugą jął szarpać mu skórę nad łopatką.

Birara uczynił nagły zwrot. Napastnik stracił równowagę i obsunął się nieco.

Potężna trąba ruchem błyskawicznym otoczyła go, oderwała i zakręciwszy w powietrzu, z rozmachem cisnęła o ziemię. Słoń niebywale zwinnie i szybko skoczył naprzód i przygniótł oszołomionego tygrysa przednimi nogami.

Nie bacząc na rany zadawane mu pazurami drapieźnika, wpierał w niego ciężkie nogi i kołysał się z boku na bok, wtłaczając go w ziemię.

Na tygrysie pękła skóra i trzeszczały kości, lecz bronił się jeszcze, ryczał, miauczał żałośnie i ponuro.

Birara deptał go długo, aż nagle odskoczył i runął na słabnące zwierzę całym ciężarem ogromnego ciała.

Pędzili już, wymachując dzidami i nożami, strzelcy i naganiacze, biegli myśliwi, a na ich czele śpieszył do uratowanego syna — drżący z przerażenia, wzruszony Tasfin.

Dopał wreszcie Nassura, tulił go do piersi, całował i płakał z radości.

Po chwili objął Amrę i rzekł:

— Będziesz dla mnie drugim synem za to, żeś stanął w obronie królewicza!

Goście nie szczędzili pochwał małemu kornakowi i zachwycali się jego bohaterstwem i wiernością.

Hindusi dobili tygrysa i pomogli wstać Birarze.

Słoń wyglądał strasznie.

Cały bok, niby szkarłatnym płaszczem, miał okryty posoką. Zerwana skóra zwisała mu dwiema grubymi szmatami. Z pyska sączyła mu się krew i mieszała z pianą.

Słoń chwiał się na nogach i oddychał ze świstem.

Walka pochłonęła wszystkie siły jego i wyczerpała go do reszty.

Wkrótce straszliwy, rozdzierający kaszel począł nim wstrząsać, a krew coraz obficie płynęła z rozdartej wargi i paszczy.

Parskał i dusił się, potrząsając zranionym łbem; po chwili uspokoił się jednak trochę.

Wzrok jego padł na leżącego wroga. Podszedł do niego, ostrożnie obwąchał i nagle silnym uderzeniem nogi zmiażdżył tygrysowi głowę.

Oglądając się na niego, odszedł i podniósłszy łeb, zatrąbił donośnie.

Fuzal naprędce zrobił mu opatrunek.

Lekarz

Naganiacze przynieśli wodę w skórzanych workach; obmyto Birarze rany i zalepiono pajęczyną, aby zatamować krew.

Birara staniał się i zataczał, gdy prowadzono do domu.

Słabnął szybko, więc musiano wziąć go pomiędzy dwa inne słonie, które podtrzymały rannego biedaka, przyciskając się do niego bokami.

Długo i powoli odbywał się ten pochód.

Tasfin z gośćmi odjechał naprzód od dawna. Tuż za nim podążyła świta, strzelcy i studzy pałacowi.

Przed rannym, słabym Birarą szli Amra i Nassur, rozmawiając o wypadkach tego dnia.

— Byłeś mi przyjacielem, teraz jesteś bratem... — rzekł nagle Nassur. — Cały nasz naród będzie uwielbiał ciebie, boś bronił syna ich władcy!

— Królewiczu — odparł cichym głosem Amra — uczyniłbym to samo, gdybyś był synem wieśniaka znad Irawadi, Narbady lub naszej mętnej Tapti!

Birara słyszał głosy chłopaków, chociaż nie widział ich.

Miał opuszczone powieki, lecz, gdy je podnosił, ogarniał wzrokiem te drogie dla niego istoty. W oczach słonia zapalały się gorące ognie przywiązania i radości. Słabym głosem pomrukiwał i znowu zamykał oczy.

Doszli wreszcie do łąki za ogrodem pałacowym.

Odprowadzono słonia do chlewu, gdzie z bolesnym jękiem położył się natychmiast i leżał wyczerpany śmiertelnie.

Wkrótce przyszli do niego Amra z Fuzalem i przyprowadzili ze sobą znachora wprawnego w leczeniu zwierząt.

Amra, przemawiając łagodnie, zmusił słonia, aby wstał.

Odprowadzono go do rzeki, gdzie obmyto starannie i zbadano rany.

Miały straszliwy wygląd.

Oderwane ucho i poszarpana skóra na karku, pysku, boku i nogach ropieć już zaczynała. Dreszcze wstrząsały Birarą, a kaszel dokuczał mu nieustannie i wywoływał krwotok z gardła.

Zadana niegdyś kulą, a zablizniona już rana otworzyła się i krwawiła.

Słoń rzeził i oddychał porywczo, wydając jęki i skamłanie płaczliwe.

Nałożono mu jakieś leki z ziół, dano do wypicia cały kubek gorzkiego wywaru zaprawionego solą i czerwonym proszkiem pieprzu, zmieszanego z imbirem.

Po obandażowaniu odprowadzono go do chlewa, gdzie słoń położył się na świeżej trawie, mając w pobliżu wodę i duży kosz bananów.

Pięć dni leżał Birara w gorączce, cierpiał i borykał się ze śmiercią.

Czuł, że siły z dniem każdym go opuszczają, lecz nie czuł lęku ani tęsknoty. Serce jego biło radośnie, bo widział przy sobie Amrę i Nassura, a nawet sam maharadża kilka razy odwiedził chorego słonia.

Patrząc na niego ze współczuciem Tasfin kazał Fuzalowi, aby nałożył mu na zdrowy kiel złote kółko z napisem:

„Słoniowi Birarze za wierną przyjaźń od maharadży Satpury”

Słoń długo chorował, lecz znachor nie tracił nadziei i leczył go starannie, mając obiecaną sutą nagrodę z kancelarii pałacowej.

Znał się on na rzeczy i zaleczył rany Birary.

Nie mógł tylko dać sobie rady z upadkiem sił starego słonia.

Sędziwy olbrzym leżał całymi dniami i zaledwie na krótko wychodził na łąkę, aby wygrzać się na słońcu lub użyć kąpieli w rzece.

Minął miesiąc prawie, zanim Birara mógł chodzić po łące, a nawet zaglądać do „wąwozu przyjaźni”, gdzie chłopcy po dawnemu palili ognisko i gwarzyli bez krępującej etykiety dworskiej.

Długie wystawanie na jednym miejscu nużyło Birarę, więc kładł się przed ogniskiem i cicho mruczając, łagodnymi oczami przyglądał się chłopakom.

Był słaby i bezradny, lecz w sercu czuł niegasnącą radość i szczęście ciche i spokojne niby pogodny zachód słońca.

Pewnego razu uderzyło go coś w wyglądzie Amry i w dźwięku jego głosu, gdy chłopak mówił do Nassura:

— Teraz Birara jest zdrowszy i silniejszy, mogę odwiedzić rodziców. Jutro pojedę do Suratu, bo czekają tam na mnie od dawna...

— Nie pozostawaj tam długo, bracie... — rzekł królewicz.

— Jadę do ojca i matki, królewiczu! Wyglądają mnie małe siostrzyczki! — szepnął z wyrzutem Amra. — Jestem ich synem i bratem...

Nassur spuścił oczy i westchnął.

— No, tak... prawda... — odparł cicho — zapomniałem!

Leżący Birara podniósł się nagle i z głośnym jękiem stanął.

Zajrzał w oczy chłopakom i drgnął.

Przesunęło się przed nim jemu tylko znane widmo rozłąki.

Zaczął tupać i chrząkać trwożnie.

— Co ci jest, staruszkule? — spytał Amra.

Słoń objął go trąbą, chuchnął na niego i posadził sobie na kark.

— Cóż dalej? — zaśmiał się chłopak, ze zdumieniem patrząc na Nassura.

Birara podstawił mu trąbę i kolano, aby zszedł na ziemię, a sam postąpił kilka kroków naprzód i powrócił, bacznie przyglądając się kornakowi.

— Ach! — zawołał Amra. — Zdaje mi się, że stary zrozumiał, iż odjeżdżam i chce nam powiedzieć, że może mnie zawieźć do domu... Czy pozwolisz królewiczu, abym zabrał go ze sobą? W domu wszyscy będą się z tego cieszyli... Tyle lat żyliśmy razem z Birarą!

Nassur natychmiast się zgodził i rzekł:

— A weź też ze sobą wierzchowca! Wsiądziesz na niego, gdy Birara się znuży.

— Dziękuję! — zawołał Amra. — Jutro wyruszę, królewiczu!

Uścisnęli sobie dłonie i poszli do pałacu.

Uspokojony nagle Birara szedł za nimi, pomrukując łagodnie.

Zdawało się, że nuci jakąś piosenkę...

ROZDZIAŁ XX. ODWIEDZINY

Mieszkańcy wioski położonych pomiędzy Użżainem a Suratem wybiegali z chat i przyglądali się ciekawie niezwykłemu pochodowi.

Na czele szedł, kulejąc z lekka, stary słoń.

Że miał poza sobą długi korowód lat, to w mig poznawali Hindusi, gdyż na końcu ogona słonia srebrzyła się długa siwa szczecina, także włosy rosły mu na dolnej wardze, a skóra tworzyła potwornie grube fałdy na bokach i biodrach.

Na karku sędziwego zwierzęcia jechał mały chłopiec w białym ubraniu i czarnej czapeczce ze złotym galonem.

Słoń wywijał ogonem, prychał, pomrukiwał i szedł ciężkim truchtem, podnosząc obłoki kurzu.

Z tyłu jechało na mułach dwóch pachółków pałacowych, prowadząc osiodłanego konia i dwa inne, obarczone worami wypchanymi suto.

Najbardziej jednak budziło podziw coś innego. Oto słoń miał jeden kiel złamany, na drugim zaś widniał szeroki, złoty pierścień.

Był to Birara, niosący na sobie swego ulubionego kornaka.

Amra, wyjeżdżając z pałacu, wsiadł na konia, aby nie nużyć starego przyjaciela.

Słoń jednak zaczął tupać, trąbić, chrząkać trwożnie, żądając, aby chłopak wsiadł mu na kark. Wtedy od razu się uspokoił i rażnym krokiem ruszył w drogę.

Zwierzę, Starość

Amra robił częste popasy, aby dać wypoczynek starowinie, więc powoli posuwał się naprzód.

Birara już rozumiał, że powracają na Tapti, co cieszyło go niezmiernie.

Spieszył się, jak mógł, dreptał ochoczo, sapiąc i mrucząc. Droga jednak wspinać się wkrótce zaczęła na zbocza gór.

Birara szedł już wolniej, przystawał co chwila, aby odetchnąć, i dreptał dalej.

Przy każdej próbie kornaka, ażeby zejść z niego i wsiąść na konia, chrząkał gniewnie, z powrotem wsadzał go sobie na grzbiet i szedł dalej, udając, że nie czuje zmęczenia.

Przejście od stolicy do rzeki zabrało im trzy dni.

Ujrawszy Tapti, Birara jął porykiwać radośnie i kilka razy machnął trąbą, jak gdyby chciał powiedzieć:

— No, teraz jesteśmy już w domu!

Wykapawszy się i posiliwszy znakomicie, słoń szedł pewniejszym już krokiem.

Przypominał sobie niemal każde drzewo, każdą ścieżkę, odbiegającą od okrytej kurzem drogi i ginącą w dżungli. Cieszył się, poznając dobrze mu znane miejsca i, zdawało się, że z krokiem każdym powracają mu siły.

Pomachiwał ogonem bez przerwy, wywijając trąbą, a małe oczki świeciły mu się radośnie i figlarnie.

Czuł się w tak wybornym humorze, że schwycił nawet i pociągnął za ogon muła, który ośmielił się wyprzedzić go niebacznie.

Wędrowali tak jeszcze przez dzień cały i zanocowali w małej wiosce, położonej niedaleko Suratu.

Teraz dziwny niepokój jął ogarniać słonia. Chodził, niecierpliwie spoglądając w ciemne niebo, i wzdychał. Nie tknął jedzenia i wody, bo nie chciał zejść z drogi, raz po raz wyciągając trąbę w stronę miasta i węsząc.

Ledwie spostrzegł świt, zaczął trąbić głośno, budząc Amrę i pacholków maharadży.

Tupał natarczywie, śpiesząc się w dalszą drogę.

Ruszyli więc i doszli wreszcie do miejsca, gdzie dawniej stała chata Warory.

Teraz nie było jej już, a na tym samym miejscu zielenił się łąn prosa, dochodząc aż do skraju drogi.

Wypytawszy sąsiadów, Amra dowiedział się, że rodzina jego przeniosła się na drugi brzeg Tapti.

Przez rzekę szedł prom.

Przeprawiwszy się, podjechali do dużego, nowego domu.

Wysokie podmurowanie z czerwonych kamieni i ściany ze złocistych, świeżych desek nadawały okazały wygląd siedzibie Warory i Sonczy.

Kaleka nie trudnił się już snycerstwem, a i matka Amry miała teraz mniej pracy. Zastępowała ją bowiem służąca, krzątająca się dokoła domu, w polu zaś pracowało aż trzech robotników, wynajętych przez Warorę.

Do niedawna jeszcze biedni wieśniacy teraz żyli dostatnio i spokojnie.

Na spotkanie brata wybiegły uradowane Hubli i Radzori, rzucając mu się na szyję.

W obszernej sieni matka porwała chłopca w objęcia i długo tuliła go do piersi. Przez lzy spoglądała na syna z dumą i wdzięcznością, wiedząc, że on to był źródłem dobrobytu całej rodziny.

Wszedłszy do domu, Amra powitał ojca.

Pozostawiwszy sobie wierzchowca, chłopak wyprawił do Użżainu sługi z mułami i końmi, po czym rozgościł się w domu na dobre.

— Przyjechałem do was na całe dwa tygodnie! — mówił do ojca, rozglądając się po nowej siedzibie.

Wszyscy się cieszyli z przyjazdu Amry i podziwiali piękne upominki, które kupił dla nich w stolicy białych sahibów, a również wspaniałe dary przysłane przez maharadzę rodzinie przyjaciela i obrońcy swego syna.

Birara długo nie mógł się przyzwyczaić do nowego miejsca, lecz zrozumiał w końcu, że odtąd ma pozostać w bambusowej zagrodzie, gdzie przynoszono mu świeżą paszę, banany, mango i wiązanki trzciny cukrowej.

Cieszyło go, że jak zwykle mógł chodzić codziennie do rzeki i kąpać się razem z Amrą, przychając i polewając się wodą.

Czuł się teraz znacznie silniejszy i weselszy.

Po południu wsadzał sobie na grzbiet Amrę i dziewczynki.

Wychodzili poza wioskę i zapuszczali się do dżungli.

Birara zrywał tam młode gałązki i drzemał w cieniu drzew.

Dzieci bawiły się wesoło. Gdy znużone siadały koło Birary, Amra opowiadał siostrzyczkom o życiu w pałacu królewskim, a stary słoń przez sen pomrukiwał znacząco i kiwał głową.

Być może, że rozumiał słowa chłopaka i potwierdzał je, gdyż i sam coś niecoś wiedział już i doświadczył z tego życia w stolicy Satpury.

Jednak najciekawsze chwile przeżywali wieczorami w rodzinnym gronie.

Usiadłszy na otwartej werandzie, słuchali opowiadania Amry.

Rodzice ze wzruszeniem dowiedzieli się, że chociaż upłynęło tak mało czasu, mały Amra i stary Birara przeżyli już bardzo wiele przygód — radosnych i ciężkich.

Słoń stał przed werandą z opuszczoną głową. Od czasu do czasu poruszał jednak uszami i wydawał urywane pomruki lub głębokie westchnienia.

Domyślał się, o czym opowiada mały kornak, a słysząc swoje imię, podnosił uszy i węszył.

Spostrzegłszy, że rodzina przygotowuje się do snu, mruczał coraz głośniejsze, domagając się garści soli, do której przyzwyczaił się być w Uzzainie.

Pewnego razu Amra wybrał się do Suratu, aby zapytać na poczcie o list od Nassura, ponieważ jedyny listonosz, jednooki Daltra, ciężko zapadł na zdrowiu.

Za chłopakiem, jak zwykle, kroczył nieodstępny słoń, potrząsał głową i mruczał cichutko.

Powracając z miasta, na moście przerzuconym przez Tapti Amra spotkał wóz, w którym jechał nieznamy Anglik i stary Hindus siedzący obok furmana na koźle.

Mijali właśnie powóz, gdy nagle Birara stanął i wyciągając trąbę, począł głośnie węszyć.

— Chodź, staruszkule! — popędzał go chłopak. — W domu czekają na nas z obiadem.

Słoń nie ruszał się jednak i coraz hałaśliwiej i głębiej wciągał powietrze.

Przed bystrym wzrokiem Amry nie mogło się ukryć nagłe zmieszanie Hindusa.

Ten zaś, starając się nie patrzeć na Birarę, pochylił się do ucha Anglika i szepnął:

— Sahibie, widzisz tego słonia? To ten sam, którego postrzeliłeś nad jarem w dżungli Halirab... Boję się, czy nie poznał ciebie, sahibie...

— Bredzisz, stary Guarra! — zaśmiał się biały człowiek. — Strzelałem do dzikiego słonia, a ten jest oswojony... Co ci przyszło do głowy?

Stary panikis westchnął i już usta otworzył, aby odpowiedzieć, gdy nagle zaszedł nieoczekiwany wypadek.

Słoń, z groźnym, basowym rykiem runął na wóz, przewrócił go piersią i porwał Hindusa. Już podniósł go nad głowę, aby uderzyć z rozmachem o pomost, gdy rozległ się głos Amry:

— Birara, zostaw w spokoju tego człowieka!

Olbrzymie zwierzę wahało się przez chwilę.

Wspomnienia bolesne i ciężkie miotaly się w jego głowie, a w sercu rozgorzała paląca żądza zemsty.

Poznał panikisa, bo przecież trzymał go już raz w uścisku swej trąby, obwąchiwał leżącego na ziemi wroga, trącał go nogami. Darował mu życie, a on (Birara nie wątpił, że to był właśnie Guarra) zranił go czymś strasznym i palącym, co groźnie i ponuro gwizdząc, przesywając powietrze.

— Birara... Birara! — brzmiał pełen wyrzutu, uspakajający głos kornaka.

Słoń chrapanął niemal z rozpaczą i postawił Hindusa przed sobą, baczenie mu się przyglądając.

Do Amry szybkim krokiem podszedł oburzony Anglik.

— Odpowiesz przed sądem za napad słonia na mój powóz i tego człowieka! — zawołał z gniewem, zaciskając pięści.

Amra nic nie odpowiedział. Przyglądał się tym ludziom, których nigdy w swym życiu nie spotykał, a których poznał słoń. Chłopak domyślił się, że mądry Birara powiązał tych nieznamych, przypadkowo spotkanych ludzi z bliznami na swym starym ciele. Niezawodnie byli to ci, którzy w swoim czasie skrzywdzili go i zadali mu ból.

Uwagi jego nie uszło zmieszanie i strach Hindusa. Doszły go też słowa Anglika. Nie wątpił, że Birara poznał swoich wrogów.

Tymczasem zniecierpliwiony Anglik brutalnie szarpnął chłopaka za ramię.

— Jak się nazywasz, szczeniaku? — zapytał, z gniewem patrząc w spokojną twarz kornaka. — Guarra, powtórz mu w waszej mowie, o co go pytam!

Amra podniósł głowę i odparł po angielsku:

— Zrozumiałem, co pan mówił do mnie... i do Guarry...

— Dlaczegoż więc nie odpowiadasz? — irytował się Anglik.

Chłopak wzruszył ramionami i spojrzał z pogardą na białego człowieka.

— Owszem, odpowiedziałbym natychmiast, gdyby mnie pan nie zaczął szarpać — mruknął. — Zresztą odpowiem może, lecz przedtem muszę pomówić z człowiekiem, którego pan nazwał Guarra.

Stanąwszy z Hindusem na uboczu, spytał go:

— Czyżbyś nie znał tego starego słonia ze złotą obrączką na kle?

— Wtedy... nie miał jeszcze obrączki!... — wyrwało się tropicielowi.

— Wtedy? — powtórzył Amra. — A kiedyż to było, dobry człowieku?

Guarra spuścił oczy i milczał.

Chłopiec uśmiechnął się nieznacznie i rzekł cicho:

— Nie staraj się tylko bracie, kłamać, bo ci się to nie uda!! Wiem, przecież, że w Satpurze wszyscy słyszeli o Birarze. Powiedz więc szczerą prawdę, bo inaczej będę zmuszony napisać do maharadży, aby kazał cię stawić przed sobą...

Stary tropiciel padł na kolana przed małym kornakiem i przyznał się do winy, nic już nie ukrywając.

Wysłuchawszy tego opowiadania, Amra podszedł do Anglika i powiedział dobitnym głosem:

— Pan strzelał i zranił słonia królewicza Nassura, chociaż o jego ucieczce wszyscy w kraju byli powiadomieni. Nie chcę narazić pana na przykrą rozmowę z władcą Satpury, bo nic to już nie pomoże biednemu Birarze. Starowina z pewnością niedługo już pociągnie... Niech więc sahib będzie wdzięczny, że za ranę Birary przypłacił pan tylko złamanym kołem, no, i dla uspokojenia swego gniewu może pan nawymyślać panikisowi, że kazał panu zapłacić sobie za strzał do oswojonego, starego, szlachetnego słonia... Ha, ha, ha!

— Jak śmiesz drwić ze mnie?! — wybuchnął Anglik. — Jak się nazywasz?

— Amra, syn Warory z Suratu, lecz w stolicy maharadży nadano mi inny... tytuł! — mówił chłopak.

— Tytuł? — zdziwił się Anglik.

— Nazwano mnie tam „bratem królewicza”! — zakończył Amra i dumnie spojrzał na białego człowieka.

Widząc, że zmieszany cudzoziemiec milczy, Amra skinął mu głową i odszedł.

W ślad za nim ruszył też Birara, wciąż się jednak oglądając i mrucząc bez przerwy.

Z pewnością — kłął lub drwił.

W tej samej chwili chłopak wydobył z kieszeni tabliczkę czekolady i ułamawszy kawałek, dał go Birarze.

Słoń zaczął chrupać i cmokać głośno, aż przelknął przysmak i chrząknął figlarnie.

Posłyszawszy głos Birary, Amra się roześmiał, był bowiem przekonany, że starowina wypowiedział mniej więcej taką myśl:

— A tośmy im zadali bobu⁴¹! Co?!

Chłopak zajrzał w roziskrzone oczy słonia i parsknął głośnym śmiechem.

ROZDZIAŁ XXI. OSTATNIA WYPRAWA

Zaledwie kilka dni pozostawało już do odjazdu Amry.

Matka popłakiwała na tę myśl, a siostrzyczki — Hubli i Radżori chodziły strapione.

Nawet dawny wojak — kulawy Warora, wzdychał po kryjomu.

Dzień rozłąki zbliżał się jednak nieubłaganie.

Nassur stanowczo żądał powrotu przyjaciela.

⁴¹zadac komus bobu — dać komuś nauczkę, dokuczyć komuś. [przypis edytorski]

Wyczuł to też Birara i nagle niepokoić się zaczął.

Co chwila podnosił uszy, węszył i prychał. Chwilami jednak stał nieruchomy i niezwykle smutny, a westchnienia coraz częściej wyrwały mu się z szerokiej piersi.

Spostrzegłszy to, Amra podszedł do niego i klepiąc go po trąbie, szepnął:

— Już czas na nas, staruszkule! Za parę dni ruszymy w drogę, na twoją łakę, do „wąwozu przyjaźni”!

Słoń objął chłopaka, przycisnął go do siebie i dmuchał gorącym oddechem, mrucząc cicho, bardzo cicho, a z niewymownym smutkiem.

Gdyby Amra mógł zrozumieć głos starego przyjaciela, zapłakałby gorzko.

Niewesoła bowiem myśl zaprzętała mózg sędziwego Birary.

Opowiadał swemu kornakowi, że żyje już bardzo długo, o, bardzo! Że ma sterane ciało i zbolale kości roboczego słońca, że siły opuszczają go i że nie dojdzie już do Uzzainu, nie zobaczy więcej ani łaki nad rzeką, ani wąwozu i nie posłyszyny nigdy głosu Nassura, bo... bo...

Nie mógł dokończyć swej myśli Birara.

Być może, bał się tego, a może sam nie wiedział, jak potrafiłby wyjaśnić sobie nurtujące go przecucie, wiedział tylko, że coraz częściej czarna, nieprzenikniona zasłona opada mu na oczy, a serce bić przestaje. Niemy, głuchy i ślepy czuł się bardzo bezradny i bezsilny bezmiernie, strwożony czymś nieznanym, co szybowalo wokół, ni to nocny ptak tajemniczy, ni to duża ćma bezszelestna.

Amra nie rozumiał znaczenia pomruków i westchnień słońca.

W przeddzień odjazdu przygotowywał się do drogi. Z pomocą parobka wykapał wierzchowca, opatrzył siodło, uzdę i sprawdził, czy mocno się trzymają podkowy.

Dawniej, gdy chłopak krzątał się po zagrodzie, Birara zwykle stał i patrzył na niego spokojnie lub nawet drzemał, ufny, że nie opuści go już nigdy mały, kochany kornak.

Teraz słoń nie odstępował go na krok, dreptał za nim i chuchał na niego, od czasu do czasu dotykając go trąbą.

— Co powiesz, starowinko? — pytał chłopak, uśmiechając się do niego.

Birara wpatrywał się w niego smutnymi, łzawiącymi się oczyma i wzdychał.

— Dolega ci co? — dopytywał się Amra, głaszcząc przyjaciela.

Słoń smutnie opuścił głowę, zwiesił trąbę i przymknął oczy.

Bał się, widać, żeby mały kornak nie zrozumiał przyczyny jego niepokoju.

Przed zachodem słońca niebo powlokło się czarnymi chmurami.

Burza, Żywioly

Gdzieś daleko jeszcze przewalały się i toczyły nad światem głuche odgłosy grzmotów.

Chwilami zalatywały porywcze podmuchy wiatru.

Zdązała burza — ta straszna, wściekła burza podzwrotnikowa, pełna zgiełku i zgrozy.

Blade, chyże węże błyskawic ślizgały się po niebie.

Prąd rzeki okrył się zmarszczkami, zaszleściły żałośnie trzciny nadbrzeżne i chylić się poczęły wierzchołki drzew.

Wieśniacy w popłochu zamykali z pola. Grubymi matami zasłaniano okna w domach i zasuwano lekkie drzwi sklecone z bambusowych prętów.

Bydło z rykiem bieгло do chlewów i zagród.

Psy wyły ponuro, kryjąc się pod domami.

Rozlegały się trwożne głosy ptactwa lecącego z pól i znad rzeki, aby się schronić do dżungli.

Tylko ogromne sępy wisały pod chmurami, kreśląc w wyżynie szerokie koła i wydając ostry, drapieżny skwir.

Skrzypiały ciężkie wozy hinduskie naładowane drzewem, kamieniami i baryłkami cementu.

Hindusi, klaszcząc biczami i klnąc, poganiaли leniwe, powolne bawoły, aby przed ulewą dotrzeć do Suratu.

Z portu dobiegał głuchy ryk syreny okrętowej.

Wszystkie te dźwięki w jednej chwili utonęły w huku pioruna.

Rozdarł on czarne chmury ognistym zygzakiem i spadł w dżungli, gdzie natychmiast podniósł się słup dymu, a na jego tle płaszczyły się szkarłatne języki płomieni.

Jeden po drugim były ogniste strzały. Padały do morza, uderzały w stare, zbutwiałe mahonie, omszałe palisandry i palmy kokosowe lub były raz po raz w czerwone skały ciągnące się na południu.

Wicher zrywał liście i gałęzie, a nabierając coraz większego rozpędu i siły, łamał wysokie piony i strącał ich korony na ziemię.

Skrzypiały okiennice i krokwie domów. Ze strzech padały zerwane gonty, słoma i trzciny, miały się i niby sztandary powiewały maty okien i werand.

Powietrzne trąby podnosiły kurzawę na drogach i mknęły, zgrzytając i gwizdząc.

Wzburzona rzeka pluskała coraz głośniejszą i złośliwiejszą, a wstrzymywana w swym biegu występowała z brzegów, podmywała krzaki i porywała małe kładki, na których wieśniaczki prały bieliznę.

Morze, smagane wichrem, rozszalało się i okryło się białymi czubami mknących bałwanów. Rozbijały się one i rozpryskiwały o mur wybrzeża portowego, za miastem zaś z sykiem wybiegały na mielizny, wyrzucając na piasek muszle i czarne wodorosty.

Zgiełk, huk, zgrzyt i ryk zwichrzyły się nad ziemią.

Chyliły się i skrzypiały drzewa na bulwarach miasteczka.

Rybacy wciągali łodzie na brzeg i uwiązywali je do ciężkich kamieni.

Biali mieszkańcy portu szczelnie zamykali okna i opuszczali żaluzje, aby nie widzieć oślepiających węży piorunów.

Wreszcie spadła ulewa.

Strugi wody runęły na ziemię, zamieniły drogę i ulice w burzliwe potoki, wypełniły koryto Tapti, aż wylała na okoliczne pola, zagrażając chatom stojącym w nizinach.

Amra z rodziną ukrył się w głębi domu. Birara stał pod wystającą strzechą, gdzie nie dosięgał go deszcz.

Nagle od strony miasta dobiegły trwożne głosy dzwonów. Jęczały coraz donośniej, siejąc trwogę i zgrozę.

— Pożar... — szepnął Warora, spojrzawszy na syna.

Ten wybiegł na werandę, gdzie wicher wnet szarpać go zaczął i szamotać się z nim.

Mrok już zapadł, tym głębszy i czarniejszy, iż chmury okryły niebo nieprzeniknioną płachtą.

Nad miastem, rozświetlając się, to znów przygasając, miotła się luna.

„Pożar! — pomyślał Amra. — Dzwonią na ratunek!”

Ta myśl mignęła mu wtedy, gdy już dopadał Birary.

— Stary, mój stary, przedziej, przedziej! — mówił chłopiec, opierając nogę o podstawioną mu trąbę i wskakując na grzbiet słonia.

Birara, otrząsając się i prychając co chwila, podreptał ku miastu.

Dojechawszy do placyku, Amra ujrzał ludzi biegnących w popłochu.

— Ochronka⁴² się pali! Piorun uderzył w trzciniowy dach! — wołano ze wszystkich stron.

Chłopak ścisnął kolanami szyję słonia i szybko ruszył naprzód.

Bywał w ochronce, którą założyły białe zakonnice.

Miał tam niegdyś przyjaciół — dwu chłopaków, synków sąsiadki — wdowy Rusy.

Przybył na miejsce pożaru i przeraził się. Płomienie ogarniały prawie cały budynek. Buchające ogniem żagwie⁴³ z wyciem latały w powietrzu, snopy iskier unosiły się ku niebu. Ogień z rykiem i świstem pożerał drewnianą, lekką budowlę.

Gromadka dzieci, które wybiegły z palącej się ochronki, z płaczem tuliła się do sióstr zakonnych.

Jacyś ludzie polewali z sikawki płonąca strzechę i ścianę, lecz cóż to znaczyło dla rozszalałego, ognistego żywiołu?! Obłoki pary znikwały w rozpalonym powietrzu. Lada chwila mogły się zawalić belki pułapu.

— Ratujcie! Ratujcie! — rozległ się nagle przeraźliwy, brzęmiący zgrozą głos jednej z zakonnice. — W prawej części domu pozostały dwie chore dziewczynki! Ratujcie! Bóg wam pomoże i wynagrodzi!

⁴²ochronka (daw.) — przedszkole. [przypis edytorski]

⁴³żagiew — tu: płonący kawał drewna. [przypis edytorski]

Kilku mężczyzn rzuciło się ku wejściu, lecz opaleni, oślepieni buchającym żarem cofnęli się, zasłaniając rękami twarze.

— Ratujcie! Ratujcie! — przesywało zgłębione jęki zawrodości mnisi.

Amra pochylił się słoniowi do ucha i szepnął:

— Naprzód, Birara! Uderz piersią o róg budynku!...

Słoń chrząknął i cofnął się o krok. Wahał się jeszcze, lecz usłyszawszy ponownie głos kornaka, sapiąc głośno i porykując trwoźnie, pobiegł kłusem.

Amra, przyciskając się do grzbietu Birary, nadawał mu potrzebny kierunek.

Olbrzym, nabrawszy rozpędu, szybko zawrócił i przebiegając koło płonącego domu, bokiem zawadził o róg domu, uderzył piersią w cienkie belki i szybko odbiegł.

Na chłopaka zadymiła się koszula i zwinęły się opalone włosy. Słoń prychnął i mruczał, bo miał sparzoną skórę na łbie i grzbiecie.

Ofiarność ich i odwaga nie poszły jednak na marne.

Od ciosu olbrzymiego zwierza odpadły deski i belki ściany i odkryły wnętrze.

Dwóch Hindusów natychmiast wbiegło do izby i wyniosło nieprzytomne od obłądnego strachu dzieci.

Widząc, że nie mają nic więcej do roboty, gdyż ogień ogarnął już był cały budynek, Amra ruszył z powrotem ku domowi.

Na moście słoń przystanął i jak gdyby się zamyślił na chwilę. Z cichym jękiem poszedł jednak dalej.

Ulewa ustała. Burza ucichła. Czarne chmury zniknęły na niebie.

Wyjrzały gwiazdy — bliskie i rozjaśnione. Spoza dżungli wypływał księżyc niezwykle jaskrawy, jak gdyby obmyty strugami deszczu.

Birara ślizgał się na mokrej drodze i potykał, brnąc po kałużach.

Doszli do promu, więc Amra zamierzał zejść na ziemię, aby odnaleźć przewoźnika, lecz słoń ostrożnie przytrzymał go za nogę.

Podniósłszy trąbę i cicho, ostrożnie stąpając, skierował się w stronę dżungli.

— Dokąd idziesz, staruszk? — zapytał go chłopak.

Jak gdyby skradając się i oddychając bezdźwięcznie, Birara szedł wprost przed siebie. Skreślił do przetrzebionej od dawna dżungli znaną mu boczną ścieżyną.

Amra natychmiast przypomniał sobie okolicę.

„Przed rokiem jechaliśmy tędy na porębę...” — pomyślał.

Słoń szedł powolnym, lecz pewnym krokiem.

Nie wydawał żadnych dźwięków i, zdawało się, zapomniał o kornaku, którego niósł na grzbiecie.

Było coś uroczystego i tajemniczego w tym milczącym pochodzie nocnym.

Birara szedł przez znane mu cmentarzysko leśne.

Leżały tu nędzne, smutne szczątki wspaniałej przed laty i potężnej dżungli.

Tymczasem jakież wspaniałe niegdyś i bujne płynęło tu życie?!

Przez chaszczę torowały sobie drogę stada słoni.

Rogate gaury, lekkonogie, śmigłe jelenie i łanie przekładały raciami ścieżki w zarosłach, aby dojść do brzegu morza i lizać okryte solą kamienie.

Za nimi, czając się w pogmatwanej sieci traw i trzcin, czółgały się chciwe tygrysy i zwinne lamparty, tropiące zdobycz.

Ileż to krwawych spotkań, walk, rozpaczki porażki i triumfu zwycięstwa widziały wznoszące się tu niedawno olbrzymie leśne, opowiadające niebu poszumem swych koron o dziejach mrocznej dżungli.

Ileż to zwierząt i ptaków przebiegało i przelatywało przez wyrąbane, popalone ostępy i uroczyszcza kniei? Gdzież ukryły się one teraz?

Być może odbiegły daleko, wypłoszone hałasem powstającego miasta portowego, przeniosły się aż hen, na uskoki Himalajów albo legły na tej ziemi, w proch się już rozsypały, wytępiłone nieznaną ręką Europejczyka?

Jedna tylko dżungla znała prawdę, lecz i dżungla znikła prawie bez śladu...

Białe człowiek kazał brązowym ludziom ująć w dłonie ostre siekiery i rąbać wiekowe, rozłożyste drzewa...

Legła pokotem dżungla pełna uroku, błąkających się mgieł, jadowitych oparów i tajemnic niezgłębionej...

Noc, Gwiazda, Księżyc,
Deszcz

Las, Cmentarz, Rośliny,
Zwierzęta, Kolonializm

Porzuciły ją zwierzęta, płazy i ptaki...

Tylko pająki, małe jaszczurki i nietoperze dochowały wierności rodzimej kniei i gnieździły się w szczelinach zmurszałych pni, stosach porąbanych gałęzi i w zwaliskach wyrwanych korzeni.

Tam i sam podnosiły swe korony samotne, rozczochrane palmy, niby płaczki nad grobami.

W bladej poświacie księżycy smutny i ponury widok roztaczał się na tym cmentarzysku...

Cisza zalegała porzuconą porębę, lecz cisza ta tała w sobie bezdźwięczny szloch i westchnienia tęsknoty...

Wchodząc na spadzisty pagórek, Birara począł często przystawać.

Boki jego podnosiły się gwałtownie i opadały, więc Amra uczył dziwny niepokój, nie mogąc pochwycić słuchem oddechu słonia.

Słabnący olbrzym zabrął aż na sam szczyt.

Stał ze zwieszoną głową, poruszał uszami i nie węszył.

Birara wszystko już zrozumiał. Rozwiała się przed wzrokiem jego wielka tajemnica.

Umierający przybył do tych, co już odeszli byli na zawsze.

Wołali go od dawna głosem nieznanym, aż pojął i oto — przybył na zew.

Chwiejąc się i slaniając, Birara postąpił jeszcze kilka kroków.

Stanął tam, gdzie po raz pierwszy pracował z małym kornakiem.

Odwiedził był niegdyś to miejsce, gdzie, gnany miłością i tęsknotą za przyjacielem, szukał go i lkał beznadziejnie.

Przed zamglonym wzrokiem Birary skrzyło się milionami błysków srebrzyste morze; wyżej — migotały gwiazdy, niby niegasnące iskry pod namiotem nieba; niżej — biała droga, którą po tysiąc razy przemierzył był tam i nazad, ciągnąc do tartaku ciężkie belki i kloce mahoniowe.

Słoń z wielkim wysiłkiem podał chłopakowi trąbę.

Lecz nie wytrzymała już ona ciężaru kornaka i opadła bezsilnie.

Amra zdążył jednak zeskoczyć. Z trwogą i troską zajrzał w oczy Birary.

Przymknięte do połowy drżącymi powiekami źrenice słonia patrzyły na niego łagodnie i smutno.

Olbrzymie ciało wzdrygnęło się nagle, zgięły się pod nim kolana, gwałtownie podniosły się boki, aż żebra wystąpiły mu pod skórą i opadły powoli z cichym poszumem głębokiego westchnienia.

Minęła jeszcze jedna, długa chwila, zanim Birara osunął się, piersią dotykając ziemi.

W niepojęty sposób ułożył się wygodnie pomiędzy grubymi pniami ściętych drzew, nagromadzonych stosów korzeni i gałęzi, sam do zwału szarej ziemi podobny.

Poruszył trąbą i objął kornaka.

Ten uklęknął i pochylając się nad nim, zaglądał mu w oczy, całował i szeptał dobre, łagodne słowa pociechy i otuchy, brzmiące troską i rozrzewnieniem.

Biała mgła zaścieniała oczy Birary. Nie ruszał się wcale i nie oddychał już.

Amra czuł, jak trąba słonia słabnie, wiotczeje i opada powoli.

Wreszcie bezwładna i zimna wyciągnęła się w trawie, a wtedy chłopiec poczuł na twarzy lekki ciepły jeszcze powiew — ostatnią pieszczotę Birary...

*

Słońce wzeszło i zajrzało na porzuconą porębę.

Wśród sterczących, szarych, martwych pni suchych gałęzi i korzeni rozrzuconych w nieładzie leżał stary, chudy słoń.

Nieruchomy był zimny i martwy jak te pnie żalosne i gałęzie pleśnią zżarte. Olbrzymie ciało zwierza jak gdyby się rozplywało, wciskało coraz bardziej w ziemię... znikowało.

W ciszy leśnego cmentarzyska, gdzie na próchno się rozpadały butwiejące konary dumnych niegdyś, niebotycznych drzew, biegł żaloszny szloch.

To płakał mały kornak, syn Warory, „brat królewicza” Satpury.

Wzdychał, szlochał i nie słyszał, że coś szeptało do niego szmerem suchych liści i szelstem twardych zielsk:

Śmierć, Zwierzę

Trup, Zwierzę, Las

Śmierć

— Życie moje było długie, pracowite i wierne, aż doszło do kresu... Ległem tu, bo jestem synem dżungli i ze szczątkami jej pragnąłem połączyć swe stare kości... Nie płacz, mały przyjacielu! Zakończyłem bieg mego życia, bo taka była wola Najwyższej Istoty... Bądź szczęśliwy i prawy, aby, stanąwszy kiedyś u kresu, dusza twoja zachować mogła spokój i pogodę — tę najmiłą Bogu modlitwę... Żegnaj, mały, dobry Amra...

Zgrzytały wysokie badyle, poruszane lekkim wiatrem porannym, dobiegał daleki, łagodny poszum morza.

Koniec

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ossendowski-slon-birara/>

Tekst opracowany na podstawie: Antoni Ferdynand Ossendowski, *Słoń Birara*, Nakładem Udziałowej Spółki Wydawniczej, Kraków 1932.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Maria Świetlik, Martyna Szejna, Zuzanna Pyzikiewicz.

ISBN 978-83-288-6433-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).